3

MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 29 WARSZAWA, 15 LIPCA 1926 R. CENA NUMERU 1 zł.

O PODSTAWĘ DOBORU

„Ja ciekaw byłbym — mówił pos. Daszyński dn. 5 b. m. podczas dyskusji nad wnioskami rządu w sprawie reformy Konstytucji — gdyby p. premjer Bartel był posłem, ale nie premjerem... i gdyby przewrót majowy albo wypadki październikowe postawiły na czele rządu p. Strońskiego i gdyby p. Stroński przyszedł z temi samemi projektami, co dziś p. Bartel do Sejmu! Nie mogę reprodukować słów, jakie p. poseł Bartel, huknąwszy pięścią w stół, powiedziałby pod adresem p. Strońskiego".

W obserwacji tej niema odrobiny przesady. Odpowiada ściśle rzeczywistości. I dlatego właśnie należy potraktować ją poważniej, nie jako temat dowcipu lub łatwego polemicznego triumfu, ale obraz (nie karykaturę) rządzącego dziś Polską obozu. Trzeba starać się zrozumieć osobliwe warunki, w których taka zmienność poglądów staje się możliwa. Trzeba starać się zrozumieć umysłowość ludzi, którzy nazajutrz po zwycięskim zamachu stanu poczuli się rozbici wewnętrznie, bez idei, bez planu działania, bezradni. „Przewrót majowy" skierowany był przeciw obozowi nacjonalistycznemu: pod sztandarem „przewrotu" bez wahania stanął cały obóz antynarodowy, lewicowy, od bogatej burżuazji liberalnej do „rewolucyjnego proletarjatu". W deklaracjach grup, najbardziej do obecnego rządu zbliżonych, były rzeczy z polskiego punktu widzenia wprost występne. A pomimo to, czasem chytrze, czasem napół bezwiednie, z obozu „przewrotu" rzucano hasła wyraźnie, skrajnie nacjonalistyczne. Wacław Sieroszewski przeraziłby się zapewne, gdyby zdał sobie sprawę, jak „endecki" czy „faszystowski" sposób myślenia ujawnił w artykule, ogłoszonym przed miesiącem w „Głosie Prawdy".

Jakież są przyczyny tych sprzeczności? Wielkie prądy polityczne: nacjonalizm, liberalny demokratyzm, komunizm, grupują swych zwolenników nie na podstawie chwilowych zbieżności poglądów na te czy inne poszczególne zagadnienia, ale według odrębności typów psychicznych, których są wyrazem. Jest odrębny typ psychiczny nacjonalisty, typ — jak określił Zygmunt Balicki — „żołnierza-obywatela", istnieje też odrębna psychika lewicowca („umysłowość masońska" według wyrażenia Benedetta Croce): „wolnomyślna", oparta na wierze w powszechną, bezwzględną wartość pewnych liberalno-demokratycznych teoryj. Te ogólne skłonności psychiczne, raczej niż zgóry ściśle opracowane programy, są powodem rozmaitego stosunku różnych grup do konkretnych politycznych zagadnień.

U nas rzecz nie przedstawia się w sposób tak prosty. Wiele przyczyn składało się na to, że nasz podział dzisiejszy na „prawicę" i „lewicę" w znacznej mierze — przedewszystkiem jeśli chodzi o warstwę inteligentną — dokonał się nie tyle na podstawie różnic typu psychicznego, ile raczej na podstawie wspólnych przeżyć, wspomnień, zwłaszcza wspomnień z okresu wojny światowej i walk o „orjentacje". Zamęt w tej dziedzinie rozpoczął się już na kilka lat przed wojną, kiedy polityka narodowa przygotowywała Polskę do stanięcia po stronie koalicji przeciwniemieckiej, gdy tymczasem nie „umysłowość" już, ale wprost przynależność masońska pewnych ludzi zwracała ich wzrok albo w kierunku Berlina albo Budapesztu. Tak się złożyło zaś, że właśnie tylko ci „przynależni" (duchowo lub organizacyjnie) mogli już w sierpniu r. 1914 głosić hasło zbrojnego udziału Polski w wojnie światowej, organizować przy pomocy Austrji Legjony, odwoływać się do ducha rycerskiego i bohaterskich tradycyj, gdy po stronie przeciwnej — poza emigracją i to głównie w ostatnim okresie wojny — z konieczności ograniczać się musiano do biernego oporu (rozwiązanie Legjonu Wschodniego, udaremnienie poboru na terenie b. Królestwa Kongresowego, „pasywizm"). Cóż dziwnego, że właśnie młodzież o psychice żołnierskiej, o umysłowości zdecydowanie nacjonalistycznej przystawała nieraz do Legjonów: polski mundur, szabla, karabin stokroć silniej mogły przemawiać do wyobraźni, niż wszelkie polityczne wywody. A i to jeszcze wśród przyczyn chaosu ideowego warto wymienić, że w czasie wojny światowej państwa *Entente*'y w znacznie wyższym stopniu, niż

Niemcy, posługiwały się w celach propagandowych frazeologją pacyfistyczną, liberalno-demokratyczną, republikańską. I zarówno humanitarna frazeologja *Entente*'y, jak i wolne od niej stanowisko polityków i publicystów niemieckich, nie pozostały bez wpływu na psychikę polskich „pasywistów" i „aktywistów". Dość przypomnieć republikańskie, radykalnie demokratyczne deklaracje warszawskiego Koła Międzypartyjnego i monarchistyczne wystąpienia dzisiejszych przywódców lewicy.

Ten chaos ideowy, pozostałość lat wojny, trwa pomimo zmienionych warunków do dziś. Jakże trudno n.p. określić, czy u podstaw całego ruchu federalistycznego, który tak strasznemi następstwami groził Polsce w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości, więcej było nie liczącego się z elementarnemi nakazami narodowemi doktrynerstwa, czy naiwnego „imperjalizmu", pragnącego polskie sztandary zatknąć aż na murach Smoleńska i Kijowa. Ale najjaskrawszem, najbardziej przerażającem świadectwem tego zamętu był ów ostatni, największy ze wszystkich splot paradoksów: „rewolucja majowa" i jej wyniki. Okazało się, że w tych warunkach, przy takim chaosie, wszelki plan konsekwentny jest niewykonalny; możliwy jest tylko bezład i bezwład.

Z tych doświadczeń trzeba wyprowadzić konieczne wnioski. Podział na obozy polityczne na podstawie istotnych, głębokich różnic psychicznych,nie zaś jak, często dotychczas, na podstawie drobnych, drugorzędnych szczegółów, jest dziś pierwszym warunkiem ogólnej naprawy. Przed „przewrotem majowym" do utrwalenia chaosu ideowego przyczyniało się także to, że nacjonalizm polski, uwikłany w taktykę parlamentarną, z konieczności zacierał do pewnego stopnia swój program, dostosowywał go do chwilowych warunków i możliwości. Dziś po zamachu, względy takie straciły dawne znaczenie. Zamęt pojęć, planowo przy pomocy kłamstw i oszczerstw potęgowany, przezwyciężyć można tylko stanowiskiem wyraźnem, nazywaniem każdej rzeczy właściwem imieniem. Im ostrzej, im jaskrawiej nawet od mało pociągającego tła dzisiejszych stosunków będzie odcinać się jasna, konsekwentna myśl nacjonalistyczna, tem większa pewność, że ona właśnie stać się musi jedynym drogowskazem dla tych wszystkich, co posłuszni nakazowi polskiego instynktu w dniach zamętu uczciwie szukają swej drogi.

JAN REMBIELIŃSKI

NOWOCZESNY PATRJOTYZM

STO pięćdziesiąt lat temu zjawiła się deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej: zabłysła zorza nowego narodu za Atlantykiem. I lat 150 temu cios rozbioru po raz pierwszy uderzył w nasz naród: gasły zorze, zaczynała sie noc naszej niewoli. Oni zrywali kajdany, gdy na nasze ręce je nakładano. Nasz grób — ich narodziny. Gdy my zapadliśmy w ten przydługi letarg, gdy oczy nasze zasłaniała mgła, to wzrokiem gasnącym i łzawym widzieliśmy na krańcach świata inny lud, z iskrą zapału zrywający się do walki z tyranją, ku szlakom wolności wzlatujący. W czasie, gdy przemoc absolutyzmu zagłuszała całą Europę, gdy Fryderyk II i Katarzyna II triumfowali, dokonawszy pierwszego rozbioru Polski, gdy ogarniała nas ponura czarna noc — za oceanem daleko zabłysły gwiazdy betleemskie, zwiastunki lepszych dni; wykuwano tam tablice nowych zasad, które miały wywrócić stary strupieszały świat europejski.

Ta zbieżność ich wysiłków z naszemi tłumaczy, dlaczego w naszym kraju hasła amerykańskie znalazły taki oddźwięk, dlaczego serca nasze, z takim zapałem i radością powitały te t. zw. „pieśni wolności" jakie nucili za oceanem „synowie i córy wolności" *(sons of liberty)*, dlaczego ku tym zieleniejącym na tamtym brzegu Atlantyku „drzewom wolności" pomknął tak pochopnie Kościuszko, Pułaski i inni. To nam tłumaczy, dlaczego z takim zapałem Wybicki powitał deklarację niepodległości i wkrótce potem w „Listach patrjotycznych" pisał:

> „Kolonje angielskie, jeżeli się dziś z pod rządu wybiją Anglji, wróżyć śmiało mogę, iż podług ich nowego ułożonego rządu, podług ich maksym o d d a w n y c h a w o l n y c h R z y m i a n p r z e j ę t y c h, w czasie krótkim staną się największem państwem. O jakże wiele mieszkańcow z uciążliwych europejskich k r ó l e s t w tam się przeniesie?!! Gdzie niegdyś zdziczony bez rządu ledwo jeden tułał się człowiek, tam mnóstwo ludzi, pod rządem swoją szczęśliwość uwielbiać będą".

A więc już przed 150 laty Wybicki przepowiadał, że „maksymy", wyrażone w deklaracji, będą błogosławieństwem Ameryki, przepowiadał, że ten kraj się rozrośnie, że dojdzie do niebywałej potęgi i pociągnie ku sobie emigrację z innych krajów.

Wybickiemu zdawało się, że tam za Atlantykiem powstaje nowa jakaś klasyczna rzymska republika, że dawni „wolni Rzymianie" zmartwychwstają do walki z „tyranem". Przypominał sobie może ów głośny okrzyk Wirginijczyka Henryka Patry: „Cezar miał swego Brutusa, Karol I swego Cromwella, a Jerzy III... (po pauzie i protestach oburzenia) niech pamięta o tamtych przykładach".

Po rzymsku, po republikańsku ujął to uczony Paryż. D'Alembert, wprowadzając do Akademji nauk Benjamina Franklina, tego „Sokratesa" amerykańskiego i wynosząc pod niebo jego zasługi jako wynalazcy piorunochronu, powiedział: *Eripuit coelo fulmen sceptrumque tyrannis* (wyrwał niebu piorun, a berło t y r a n o m).

W rzeczywistości jednak zasad i haseł wyrażanych w deklaracji nie wzięli Amerykanie ze świata starożytnego, nie zaczerpnęli „z starych pergaminów ani spleśniałych dokumentów", ani nawet z ksiąg uczonych filozofów (Locke). Trzeba nie zapominać o wyjaśnieniu Jeffersona, który tekst tej deklaracji napisał, a który oświadczył, że idee te przewijały się wówczas wszędzie, słychać je było wciąż w rozmowie, w listach, w rysunkach, były jakby w powietrzu, nastroju, były na czasie, i wydawały się wszystkim takie oczywiste, takie proste. To też Tomasz Paine nazwał je wówczas jednem słowem, którem zatytułował swoją książkę (1776)—„*Common sense*", to znaczy: zdrowy sens, chłopski rozsądek.

A dziś czy te słowa wydają się nam w istocie tak oczywiste? Karol Becker, dzisiejszy badacz deklaracji niepodległości („*The declaration of independence*" 1922, str. 233) tak mówi: „To, co wydaje się oczywistem i z sensem w jednym wieku, wydaje się nonsensem w drugim". Hasła wolności, równości, które przez wiek XIX powtarzać miały ze czcią barykady stolic europejskich, hasła, za które ginęły i lały krew całe pokolenia — dziś są już tak spo-

spolitowane przez demagogów ulicy, że zaczynają wywoływać odruch przesytu i ironji...

Oto tekst deklaracji:

„Uważamy za prawdy niezbite i oczywiste, że wszyscy ludzie są sobie równi, że stwórca udzielił im pewnych praw niezbywalnych, w rzędzie których na pierwszem miejscu należy postawić prawo do życia, do wolności, do szczęścia i t. d.“

A kończy się tem, że zjednoczone kolonje mają prawo być „wolnemi i niepodległemi państwami“. — (*free and independent states*).

Taką deklarację uchwalił kongres 4 lipca 1776 r. ale kolonja, która wysuwała się zawsze na czoło wszystkich stanów, Wirginja, już 1 czerwca uchwaliła swoją specjalną deklarację praw bardziej stanowczą, bardziej radykalną, podnoszącą z naciskiem, że wszyscy ludzie z natury są wolni i niepodlegli...

Tego rodzaju zasady rzucili światu Amerykanie trzynaście lat przed konstytucją francuską, wyrażając je z rozmachem niezwykle porywającym i marzycielskim, młodzieńczym. Dlaczego Amerykanie uprzedzili Francuzów, dlaczego pierwsi ujęli te idee w swój dekalog? W istocie grunt tu był oddawna po temu przygotowany. Nie było tu nigdy feodalizmu, nie było oddzielnych stanów ani starych rodów arystokratycznych, jak we Francji, Anglji, czy wogóle w starej Europie. Na tych nieznanych bezludnych przestrzeniach, każdy kolonista czuł się tylko człowiekiem równym drugiemu koloniście, nie wiedział skąd się wziął jego sąsiad, nie wiedział, czy bogaty, czy wysokiego rodu, czy inteligentny, czy nawet cnotliwy [1]), nie pytał „kto cię rodzi?“ czy był „*bene natus*“. Nie było tradycji i już Niemcewicz w czasie sejmu czteroletniego podniósł: „Częstokroć ludzie, których my nazywamy bez urodzenia, ratowali i wsławiali Ojczyznę. Nikt nie wie, czem był ojciec Washingtona, ani kogo Franklin dziadem swoim liczył, ale każdy wie i wiedzieć będzie, że Washington i Franklin oswobodzili Amerykę“.

Był tam grunt przygotowany i pod względem psychicznym, oddawna bowiem osiedlali się w Ameryce osobliwi sekciarze, jak sławni „Ojcowie pielgrzymi“ (*Pilgrim Fathers*), którzy, uciekając z Europy, z góry zamyślali założyć na nowym brzegu raj jakiś—nigdzie niewidziany i sworzyć wymarzony ustrój społeczny. Byli tacy marzyciele jak Kwakrzy, którzy zawarli „przymierze miłości“ pod świętym wiązem z Indjanami. Byli zbiegowie z Europy, którzy szukali przedewszystkiem wolności, a stworzyli bardzo wcześnie rozwinięty samorząd. Byli to ludzie śmiali, którzy umieli marzenia swe wcielać w czyn, których dzieła wyraził nieźle poeta amerykański Longfellow, kiedy napisał:

Bądźcie śmiali, bądźcie śmiali, śmiali zawsze i wszędzie
Nie za śmiali! Ale lepiej przesadźcie w odwadze, aniżeliby wam brakło...

I oto z tych marzeń, porywów, dążeń powstał nagle, jak mówi Pasquet „*Histoire du peuple americaine*“, *I, 1924*), niemal w oczach patrzącej na to Europy nowy odrębny naród. Gdy inne narody powoli kiełkowały, wychylając się z zamierzchłych wieków prahistorji, to tu po raz pierwszy w dziejach wykwitł nagle nowy naród, na podstawie własnej decyzji, jak się to dziś mówi—na zasadzie samostanowienia. Nagle, cały kraj powstał [2]).

Nagle, niespodziewanie w czerwcu 1776 wystrzelił sztandar z 13 gwiazdami, z białemi pasami na czerwonem tle, nagle, niespodziewanie padło na świat wielkie słowo—*independence* „niepodległość narodowa“. Nabrało nowego znaczenia słowo „patrjota“ i stało się dziwnie popularne w Europie. Od Paryża do Warszawy zaczynają się tworzyć kluby Amerykanów, czyli stronnictwa patrjotów (u nas w czasie sejmu 4-letniego „stronnictwo patrjotyczne“). W związku z tym nowym patrjotyzmem autor deklaracji Jefferson powiedział: „krew patrjotów i tyranów musi od czasu do czasu zrosić drzewo wolności“.

Ten patrjotyzm był jakiś nowy i inny od dawnego, nowoczesny, demokratyczny, jak cały naród demokratyczny Ameryki, a przedewszystkiem republikański. Tomasz Paine w „*Common Sense*“ na kilka miesięcy przed ogłoszeniem deklaracji niepodległości tak pisze:

„Lecz powiedzą niektórzy, gdzie król Ameryki?... Powiem wam przyjaciele: oto panuje w niebiosach... Potłuczmy koronę na kawałki i tę rozdajmy narodowi, gdyż całość do niego należy... Pogląd, jakoby dziedziczne następstwo na tronie ochraniało naród od wojen domowych, jest kłamstwem od wieków zaszczepionem, gdyż właśnie monarchja i dziedziczenie tronów pchały ludzkość do krwi rozlewu“.

Oto amerykański patrjotyzm uduchowiony, niematerjalny, nie uosobiony w „pomazańcu Bożym“ w królu z „Bożej Łaski“. Patrjotyzm bez korony, bez berła, bez tronu, bez dynastji... inny aniżeli starożytny nacjonalizm żydowski, bo nie oparty na jednej wybranej religji. Nie oparty na jednym wspólnym języku, ani na jednej rasie, ani krwi (bo pomimo tych węzłów oderwali się od Anglji). Ogniwem łączącem wszystkich w jedną całość jest wspólny „duch narodu“. Decyduje tu tylko dobra wola wszystkich [3]). Wszyscy czują się jak podróżni wśród morza: „wszyscy wypłyniem, albo wszyscy zginiem!“ Berła i korony to zabawki dla dzieci, to przestarzałe symbole miłości ojczyzny. Nowy patrjotyzm znajduje swój wyraz w ustroju bezosobowym, w republice, w samym narodzie jednolitym. Na tronie zamiast króla zasiadł sam naród, naród, który wymaga dla siebie daleko większych niż dawniej ofiar, poświęcenia i zaparcia.

Nowy patrjotyzm nie tylko żąda tak, jak dawny król, doraźnej ofiary życia na polu bitwy, podatku, ale wymaga czegoś więcej—etyki obywatelskiej — każe pamiętać o interesie narodu w życiu codziennem, drobiazgowem, pamiętać wciąż, że się jest cząstką całości, pamiętać o jutrze, o przyszłych wiekach narodu. Bez tej etyki nie może istnieć naród nowoczesny.

Już w rok po ogłoszeniu deklaracji Wybicki w „Listach patrjotycznych“ rzuca przed oczy nasze wzór „cnotliwego patrjoty“:

„Zły obywatel takie tylko formuje układy, z których dla siebie blizkie kalkuluje pożytki, cnotliwy patrjota układa projekta nadal... bez nadziei nawet widzenia pomyślnego ich rozrostu, ale to przyszłe pokolenie tyle mu jest miłe, jako to (pokolenie), którego jest częścią“.

Takiż właśnie idealny patrjotyzm chciał rozpalić w piersiach Polaków Kościuszko, stawiając Amerykę jako przykład. On z tamtej strony Atlantyku jak jaki Prometeusz przeniósł nad Wisłę wielki żar miłości ojczyzny, on rozpalał ten ogień w czasie swej insurekcji, gdy każdy składał na ołtarzu ojczyzny, co miał najdroższego, kiedy na rzecz powstania kościoły oddawały swe skarby i wota, a sławni galernicy czernichowscy oddali Kościuszce grosz uciułany. Wówczas także i wszechnica Jagiellońska świeciła przykładem i złożyła ofiarę ze swych skarbów i zdecydowała się nawet łańcuch rektorski oddać na przetopienie, pomimo, iż tradycja mówiła, że pochodzi z daru Anny Jagiellonki. „Ojczyzna pierwsza jest

[1]) Tocqueville. *De la democratie en Amerique, v. I chap III.*

[2]) Kościuszko do Sierakowskiego 15/IV 1816.

[3]) „Władza rządu wypływa z przyzwolenia rządzonych“ — mówi deklaracja. O patrjotyzmie przenikającym wszystkich w Ameryce rozwodzi się Tocqueville („*De la democratie en Amerique*“ I. 157, 117), akcentując, że im naród bardziej demokratyczny, tem patrjotyzm potrzebniejszy i powszechniejszy.

od astronomji“ — rzekł Naczelnik do sławnego astronoma Jana Śniadeckiego, i ten bez wahania porzucił obserwatorjum i stał się jednym z najczynniejszych kierowników komisyj powstańczych w Krakowie.

W czasie owej walki o „independencją“ — umieli nasi praojcowie poświęcić dla wielkiej sprawy nietylko łańcuch złoty, ale i serca złote... umieli składać całopalną, iście Izaakową ofiarę z pierwocin swojego ducha, ze wszystkiego, co najukochańsze.

Szczególnie ciężkich ofiar domaga się ten nowy patrjotyzm na polu gospodarczem, szczególnie wymaga subtelnego zrozumienia wspólnego interesu gospodarczego całego narodu i wielkiego zaparcia się na rzecz ogólnego gospodarstwa narodowego. Głosi wolność dla wszystkich, ale wymaga, aby każda jednostka dobrowolnie narzuciła sobie ciężkie obowiązki gospodarczej natury. To też, jak wiadomo, zaczął się ten patrjotyzm w Ameryce od haseł samowystarczalności i wytworzenia narodowego przemysłu, zaczął się od popierania wyrobów krajowych. Wszak cały ruch niepodległościowy zainagurował zapalony adwokat Otis, gdy w r. 1761 wypowiedział gwałtowną mowę w ratuszu w Bostonie w obronie kupców bostońskich, a przeciw obcym towarom, a przedewszystkiem angielskim celnikom. W dniu tej gorącej przemowy (jak powiedział w kilkadziesiąt lat poźniej John Adams) „urodziła się niepodległość Ameryki, w tym dniu rzucony został zasiew patrjotyzmu i braterstwa w sercach przyszłych obrońcow młodej Ameryki... To tutaj urodziło się dziecko, któremu na imię niepodległość, w 15 lat urosło, zostało człowiekiem dorosłym i ogłosiło się wolnym“...

W tymże Bostonie wrzucili Amerykanie trzysta pak herbaty angielskiej — do morza! Umieli wstrzymywać się od picia tej herbaty — potrafiły też Amerykanki, związane ślubowaniem „cór wolności“, nie kupować drogich materyj i wstążek obcego wyrobu, chodzić w samodziałach w imię idei niepodległości gospodarczej. Zrozumiał to w lot Wybicki i w swych „Listach“ woła do rodaków: „Wybijemy się z dependencji zagranicznej konsumpcji“[4]). Aby zaś tego dokonać, trzeba zakładać fabryki, rękodzieła, trzeba w miejsce szlachty wysunąć mieszczan, stworzyć jedną równą masę obywateli, rozkutych z więzów stanowych, słowem wykonać wszystko to, czego domagała się w Ameryce deklaracja wołając: Wszyscy ludzie są wolni...

Wszyscy ludzie wolni?!

Tu zachichotał zgryźliwy okrzyk protestu nad Tamizą! Padły przeciw „patrjotom“ zarzuty braku logiki, dały się słyszeć szydercze kpiny z szumnych haseł amerykańskich. Jakto? Co tu mówić o wolności! Wszak plantatorzy amerykańscy i właśnie ci najżarliwsi głosiciele wolności z Wirginji mają na swych plantacjach setki tysięcy murzynów — niewolników[5]) (sam Washington przedewszystkiem). Najwymowniej te zarzuty ujął, starając się wobec całej Europy dosadnie skompromitować Amerykanów, przedstawiciel liberalnych kół, Edmund Burke, gdy powiedział tak w parlamencie angielskim:

> Amerykanie są pełni ducha wolnego pomimo niewolnictwa. W Wirginji i w Karolinach mieszkańcy posiadają niewolników, ale gdzie panuje niewolnictwo, tam wszyscy ludzie wolni są ze wszystkich wolnych najdumniejsi i w tej wolności najgoręcej rozkochani.
>
> Lud w kolonjach południowych, plantatorskich, silniej przywiązany jest do wolności, niż w północnych i duch tam jest wynioślejszy, trudniej ukrócić się dający. Takiemi były wszystkie Rzplite w starożytności... Takimi wreszcie za dni naszych są Polacy. Takimi będą zawsze panowie niewolników, nie będący sami niewolnikami. U narodów takich duma panowania łączy się z duchem wolności, wzmacnia go i czyni nieprzezwyciężonym. Z takich to przyczyn wyniknął ten hardy duch niepodległości, ten duch rozpalił pożar, który grozi obecnie pożarciem nas wszystkich“.

Padł strzał jednocześnie i w Amerykanów i w Polaków. Burke szedł tu jakby ręka w rękę z Katarzyną II, która już w czasie konfederacji barskiej wykpiła polską „złotą wolność“, podburzyła hajdamaków na Ukrainie a potem przeciw Kościuszce i głoszonej przez niego wolności, kazała generałom podburzać lud prawosławny przeciw szlachcie, jak pisała, „brać go w opiekę“.

Całe szczęście, że w owej chwili niezwykle ciężkiej, w walce o szczytność idei znaleźli się dwaj przyjaciele jeden po stronie Polski, drugi po stronie Ameryki — Jefferson i Kościuszko. Oni obaj uratowali skarb moralny obu narodów, oni dowiedli, że nowoczesny patrjotyzm umie rozwiązać najtrudniejsze problemy socjalne. Obaj, Jefferson i Kościuszko, dla honoru Ojczyzny musieli poświęcić wszystko, a przedewszystkiem własne interesy.

Jefferson, mając niewolników w swych plantacjach w Wirginji, wbrew własnym korzyściom w deklaracji niepodległości ostro przeciw niewolnictwu wystąpił. W jednym z proponowanych punktów bardzo gwałtownie rzuca królowi angielskiemu w twarz zarzut, że to on popierał „przeklęty” handel niewolnikami, że to on kazał porywać murzynów w Afryce, że to on, jak się wyraził Jefferson, nie kładąc przeciw temu *veta* — to *veto* sprostytuował, postępował nie jak „król chrześcijański“, lecz jak korsarz, lub pogański władca, że to on właśnie sprzeciwiał się wszelkiemu ograniczeniu tego handlu „żywym towarem“, a oto teraz tych samych murzynów nagle podburza do powstania i rzezi Amerykanów.

Riposta Jeffersona była cięta, ale mierzyła w interesy plantatorów. I gdy stany południowe, bojąc się o dochody z swych plantacyj, sprzeciwiły się umieszczeniu tego ustępu, Jefferson, widząc, że opinja nie była przygotowana, w obawie, by się Ojczyzna nie rozpadła, z bólem serca ustąpił, ale w dwa lata później na sejmie w Wirginji (1778) przeparł *bill* przynajmniej przeciw importowaniu nowych niewolników z Afryki do kolonji, a w 1784 znów zaproponował kongresowi dalsze ograniczenia niewolnictwa. Również wiele wysiłków dla dobra „białych murzynów“ podjął u nas Kościuszko. On wyzwolił chłopów w swojej wsi i idąc coraz dalej na tej drodze, doprowadził aż do manifestu połanieckiego! Miałżeby nie myśleć o oswobodzeniu chłopa polskiego, jeśli w Ameryce bolał nad losem murzynów? Już w r. 1782 pisał o nich do generała Greena: „Sa nadzy, potrzebują koszul, żakietów, spodni a ich ciało może zarówno, jak nasze, nosić dobre rzeczy“.[6])

Kościuszko i Jefferson dwa wielkie duchy, dwaj apostołowie tej wielkiej idei, sprzęgli się wielką przyjaźnią. Jefferson dał Kościuszce tytuł najwyższy, na jaki go stać było, bo w jednym z listów swoich nazwał go „najczystszym ze znanych mu synów wolności i to wolności, która ogarnia wszystkich, nie tylko garstkę wybraną lub samych zamożnych“[7]). Kościuszko zaś własnoręcznie zrobił portret Jeffersona i podpisał: „Tomasz Jefferson, filozof, patrjota i przyjaciel“. Patrjota — oto tytuł najszczytniejszy, na jaki zasługiwał Jefferson w oczach Kościuszki. Patrjota — bo umiał dla Ojczyzny poświęcić i u stóp jej złożyć najukochańsze swoje ideały, marzenia, bo w obawie, aby jej nie rozbijać, nie podkopać, umiał odłożyć na czas późniejszy swoje sny o emancypacji murzynów. Kościuszko cenił

[4]) I. 270. Por. Raynal (współ. tłom.).

[5]) Hutchinson, *Scriptures upon the Declaration* 1776. — Wytykał to Amerykanom też w Polsce ex-jezuita Paweł Kollarz p. t. „Rewolucja teraźniejsza Ameryki“, 1778,129.

[6]) „Tygodnik Ilustrowany“ (październik 1924).

[7]) W. M. Kozłowski, Przegląd Histor. X. 1910 225 Jefferson pisał do Kościuszki 1, VI. 1798: „Twoje zasady i skłonności są takie, że trzeba je czcić, szanować i kochać. Wierne jednemu celowi: wolności i uszczęśliwieniu człowieka nie frymarczyły z odmieńcami i apostatami“. Korzon. Dopełn. LIII.

tę wielką ofiarę Jeffersona tem więcej, że sam czuł, ile go kosztowało, kiedy swój szczery i gorący republikanizm złożył na ołtarzu zaparcia się i poświęceń, sprzeciwiając się wyrzuceniu portretów króla Stanisława Augusta z ratusza krakowskiego w czasie insurekcji. Kościuszko czując dobrze, jak boli Jeffersona to pogrzebanie planów najczystszych, dał przyjacielowi wielki dowód swej przyjaźni i braterstwa dusz, ofiarowując mu dar niebywały, iście amerykański. Oto w ręce Jeffersona złożył (27. I. 1798) testament, przeznaczając sumy pieniężne na wykup dzieci murzyńskich z niewoli, a także na ich wychowanie, aby się mogły stać kiedyś „obrońcami swej wolności i swej Ojczyzny".

„Swej Ojczyzny", oto słówko dowodzące, że tak Jefferson jak i Kościuszko obaj silili się, aby ten problem ras, obejmujący całą kulę ziemską, problem „rodu ludzkiego" rozważać w zgodzie z uczuciem narodowem. Kościuszko wraz z Jeffersonem słał drogę dla Lincolna, tego Lincolna, który walczył w obronie murzynów, w chwili kiedy nasi powstańcy „styczniowi" ogłosili uwłaszczenie chłopów... Kościuszko zapalał te gwiazdy, które świeciły na sztandarze amerykańskim, te betleemskie gwiazdy, które jaśniały tam przez cały wiek XIX, wtedy gdy nad Europą ciążyła potęga czarnych sił przemocy i tyranji.

Na te gwiazdy wskazał i Wilson w swojem orędziu. Nie zapominajmy, że 13 punkt Wilsona, określający, że Polska ma być „*independent*", urodził się przed 150 laty w puszczach Wirginji, w owem zdaniu, że „*all men are free and independent*".

WACŁAW SOBIESKI

UCZENI WOBEC PRZEWROTU

W NORMALNYCH stosunkach organami opinji publicznej są parlament i prasa. Stawiamy parlament na pierwszem miejscu, a prasę na drugiem, ponieważ przy tajnem głosowaniu ogół wyborców głosuje uczciwie i niezależnie, tymczasem o wielu pismach trudno stwierdzić napewno, za czyje wychodzą pieniądze i czy nie urabiają biernego czytelnika w duchu nieczystych interesów.

Przeżyliśmy i przeżywamy straszne tygodnie, kiedy z jednej strony podano w wątpliwość powagę Sejmu i Senatu, jako wyrazicieli opinji, z drugiej czytając rozchwytywane stołeczne i prowincjonalne „Expressy", trudno było obronić się przed pytaniem, czy wogóle uczciwa prasa nie przechodzi do historji. W takich momentach pragnienia różnych warstw, zawodów, zrzeszeń wybuchają w proklamacjach, oświadczeniach, manifestach. Za kandydaturą marszałka Piłsudskiego na Prezydenta Rzplitej wypowiedzieli się wśród niedwuznacznych pogróżek pod adresem Zgromadzenia Narodowego, zsyndykalizowani pracownicy różnych branż, aż do stróżów włącznie. „Uświadomione" szerokie warstwy wskazały, że wiedzą czego chcą. Czekano nie bez pewnego napięcia, co w dramatycznej chwili powie świat naukowy.

Projekt zbiorowego oświadczenia uczonych polskich w materji politycznej nie był bez precedensu. Coprawda pewni ludzie zalecają apolityczność, jako najwyższą cnotę coraz to dalszym kategorjom obywateli: już nietylko wojsko, kościół, sądownictwo, administracja, policja, nauczycielstwo, ale podobno również uczeni powinni się trzymać zdala od polityki, którą w ten sposób chcianoby oddać w ręce fryzjerów, fornali i straganiarek. Zdania takie można słyszeć, rzecz dziwna, z ust tych samych pięknomówców, którzy skarżą się, że ich ordynacja wyborcza pozbawiła wszelkiego wpływu na politykę. Ogół uczonych naszych nie zawsze jednak umywał ręce od sprawy politycznej. Nie żałowała tego Polska, gdy 16 maja 1917 r. profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego podpisali adres, żądający odbudowy Ojczyzny wolnej, zjednoczonej, niepodległej z dostępem do morza, którą tą myśl podjęło potem i ogłosiło Koło Polskie w pamiętnej rezolucji dnia 28 maja, przypisywanej Włodzimierzowi Tetmajerowi. Drugi podobny wypadek miał miejsce w r. 1920.

Z inicjatywy niżej podpisanego stu kilkudziesięciu profesorów Uniw. Jagiellońskiego, Akademji Górniczej, Akademji Sztuk Pięknych, prof. Uniw. Jana Kazimierza i Politechniki Lwowskiej oraz Uniw. Wileńskiego oświadczyło w jednobrzmiącej deklaracji, że uznają instytucję senatu w ustroju parlamentarnym za niezbędną. Przez nieporozumienie a może i pod wpływem ubocznej kontrakcji nie poparły nas wówczas Warszawa i Poznań. W samym Krakowie odmówił podpisu viceprezes Akademji prof. K. Kostanecki (podobno lękał się o los instytucji, której prezes Kazimierz Morawski nie dzielił tych skrupułów); zajadle zwalczał akcję uniwersytecką prof. Stanisław Estreicher, jednak odezwa zrobiła swoje: dziki szturm lewicy na instytucję senatu załamał się, a „Robotnik" zaszczycił nas urągliwem przezwiskiem „mandarynów uniwersyteckich".

Po raz trzeci poczuł się Uniwersytet Jagielloński powołanym do dyktowania wskazań politycznych w maju r. 1926. Mówiąc o Uniwersytecie, trzeba tu zrobić zasadnicze zastrzeżenie. Zdaniem naszem, każdy profesor i wszyscy profesorowie razem mają prawo i obowiązek głoszenia swych przekonań, choćby dla zrównoważenia głosów tramwajarzy, stróżów i straganiarek. Natomiast żaden Senat Akademicki, choćby z najświetniejszych złożony gwiazd, i żadna większość wydziałowa nie mogą narzucać swego głosu ogółowi kolegów, bo nikt ich do tego nie upoważniał i statuty uniwersyteckie o takiem upoważnieniu milczą. W Krakowie Senat Akademicki radził nad odezwą od wojny domowej aż do Zgromadzenia Narodowego. Jedni członkowie chcieli przemówić do społeczeństwa, inni do Zgromadzenia, jeszcze inni do młodzieży; rozbieżność tendencyj była głęboka.

Widząc, że sprawa nie rusza z miejsca, kilku profesorów ułożyło projekt deklaracji, zwróconej do Rządu tymczasowego, do Zgromadzcnia Narodowego i do późniejszego Rządu normalnego.

„Niech Rząd tymczasowy zapewni Zgromadzeniu Narodowemu bezpieczeństwo i wolność obrad, albowiem wszelki zamach lub terror może popchnąć obrońców obalonej praworządności do rozpaczliwej walki z przemocą, a komunistów i innych siewców anarchji ośmieli do dalszych wywrotowych poczynań.

Niech Zgromadzenie Narodowe powoła na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej męża nieskazitelnej cnoty, niesplamionego czynami gwałtu, obdarzonego zaufaniem wszystkich dzielnic, któryby samym swym przykładem wskazał społeczeństwu drogę do godnej, legalnej współpracy dla dobra całej Ojczyzny.

Niech przyszły Rząd, który od Prezydenta zostanie mianowany, wróci niezwłocznie do ratowania niezawisłości gospodarczej państwa, przystąpi do leczenia moralnie rozdartej i wciąż jeszcze szarpanej duszy wojska, wystąpi z planem gruntownej naprawy Konstytucji w kierunku wzmocnienia Rządu, podniesienia poziomu Sejmu i ukrócenia nadużyć oraz przestępstw politycznych posłów sejmowych".

Tendencja projektu była oczywista: chciano postawić znów na nogach polską świadomość prawną, którą prze-

wrót postawił na głowie, chciano zapobiec tej potworności, jaką jest uświęcanie gwałtu i zbrodni przez wolny wybór gwałciciela na najwyższe stanowisko w państwie; chciano okazać, że sumienia i rozumu nie zagłuszy w Polsce żaden terror.

Nie wszędzie to dążenie spotkało się z oddźwiękiem. W Krakowie dziesiątki profesorów wstrzymywały rękę od podpisu, czekając na enuncjację władz akademickich; inni podpisywali, warując sobie nieogłaszanie odezwy osobistej, jeżeli Senat wyda odezwę w imieniu całości. Tak się też stało: odezwa Senatu wyszła, wobec czego zbierania podpisów pod odezwą indywidualną zaniechano i zebranych nie ogłoszono. Oświadczenie senackie bardzo poważne, lecz mniej energiczne, potępiało bądź co bądź zbrojny rokosz i zalecało obiór kandydata, któryby łączył poszanowanie prawa z beznamiętnym rozumem i z zapałem do wspólnej pracy ze wszystkimi bez wyjątku synami Ojczyzny. We Lwowie cała akcja niepojętym sposobem utonęła. W Warszawie Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, przystąpiła do niej niemal jednomyślnie; Uniwersytet i Politechnika zawiodły. Z Wilna, przepojonego duchem Piłsudskiego, nadeszło jednak oświadczenie 16 profesorów o brzmieniu nieco łagodniejszem, niż projekt krakowski. Poznań pod tekstem proponowanym z Krakowa położył bez wahań 50 poważnych podpisów.

W rezultacie około stu profesorów poza Wszechnicą Jagiellońską — wypowiedziało się przeciw legalizacji bezprawia. Ogromna reszta wolała milczeć. Czy znaczy to, że owa reszta miała inne sumienie, lub żywiła inne zasady polityczne Nie. Ona poczęści nie wiedziała o szybko prowadzonej akcji, po części nie zdążyła się w 48 godzin namyślić, po części miała zastrzeżenia co do poszczególnych wyrazów (na podobieństwo tych teologów, co podczas szturmu Konstantynopola w r. 1453 spierali się o *homousios* i *homojusios*). Zresztą niemały zastęp uczonych zasadniczo nie aprobował proponowanej odezwy.

Nic bardziej znamiennego jak głosy profesorskie, które można było słyszeć w trakcie propagandy. Jeden nie ufa sobie, radby zasięgnąć opinji którego z wydziału. Drugi się brzydzi polityką. Trzeci polityku je obrotniej, niż Talleyrand: onegdaj chciał odbierać Piłsudskiemu honorowy doktorat prawa, wczoraj wyrażał obcemu dziennikarzowi uczucie „głębokiej ulgi" i wielkiej radości z powodu pogromu sejmowej „politykierji", dziś aprobuje trzy punkty projektowanej odezwy krakowskiej, jutro potępia ją od *a* do *z*. Czwarty wierzy, że tylko Piłsudski obroni nas przed bolszewizmem. Piąty chce go widzieć Prezydentem, bo na każdem innem stanowisku Piłsudski gubiłby Polskę. Szósty śpieszy studzić zapał młodzieży akademickiej, która na olbrzymiem, dwutysięcznym wiecu ślubowała bronić legalnego Prezydenta Wojciechowskiego. Siódmy we wzmiance o kandydacie „nie splamionym czynami gwałtu", widzi tendencję „ciasno-partyjną". Nawiasem mówiąc, jeżeli wyrzucimy na śmietnik te wszystkie prawidła i prądy, które choć pożyteczne i godziwe, przeszły już na własność partyj — to co pozostanie ludziom bezpartyjnym? Chyba przeważnie głupstwo i niesłuszność.

Nic dziwnego, że wśród takiego bogactwa motywów i pomysłów znalazły się w publicystyce profesorskiej prawdziwe *curiosa*. Prof. Stan. Estreicher uznał moment majowy za najodpowiedniejszy do obrzucania prawicy sejmowej, t. j. głównie „endecji", szeregiem gołosłownych, ubliżających zarzutów; prof. Jan Michał Rozwadowski kazał nam teraz właśnie spłacać dań wdzięczności Piłsudskiemu. Prof. Eug. Romer dowodził socjologicznie, że Polska bez prezydenta Piłsudskiego zginie, więc niema co mędrkować, każdy się musi poddać kultowi komendanta-dziadka-naczelnika-marszałka-prezydenta. Prof. Stan. Zakrzewski heroicznym rzutem myśli, z taką pewnością siebie jakby mówił o Bolesławie Chrobrym, znalazł pokrewieństwo między bezkrwawym dniem 3 maja 1791 r. i krwawym dniem Pankracego 12 maja 1926 r. tudzież Targowicą — i obrońcami Belwederu.

Ogólne wnioski, nasuwające się z powyższych przejawów polityki profesorskiej, nie brzmią pokrzepiająco dla tych, którzyby chcieli widzieć przewagę mędrców nad masą. Koledzy nasi „zwyczajni" i „nadzwyczajni" przemawiali wszędzie głosem środowiska. Falanga poznańska wystąpiła jak przystało na członków dzielnej i zdrowej społeczności wielkopolskiej. Warszawa od dołu do góry, t.j. do szczytów akademickich, dała się zahukać, sterroryzować swim „Expressom". Kraków biegał po mądrość polityczną do „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" i razem z nim odbył ewolucję od prawa do „moralności".

Razem wzięci, my wszyscy przedstawiciele nauki polskiej odegraliśmy w kryzysie prezydjalno-konstytucyjnym rolę znikomą: nad naszym chórem skłóconym z głosami solistów zapanował — w sercach Zgromadzenia Narodowego — sztucznie spotęgowany wrzask warszawskiej ulicy. To trzeba sobie szczerze powiedzieć. I jeżeli miał słuszność zmarły Mścisław Godlewski, gdy nieobecnym w pracy społeczno-kulturalnej arystokratom pisał słowa prawdy w „Niwie", jeżeli słusznie zmarły Antoni Choroniewski chłostał tychże n i e o b e c n y c h magnatów w „Świecie", — to podobnie przyszły dziejopis Polski powojennej odnotuje starannie, kto z naszych arystokratów ducha mówił prawdę narodowi — lub milczał przezornie — w czasie, kiedy ogłuszony i oszołomiony ogół pragnął słyszeć głęboki głos kapłanów nauki.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

H. VON HOFMANNSTHAL I R. M. RILKE

PZED niedawnym czasem, prawie równocześnie, dwaj znakomici poeci austrjaccy obchodzili pięćdziesięciolecie urodzin. Pierwszy rodził się w Wiedniu, drugi w Pradze Czeskiej. Hofmannsthal do dziś mieszka w stolicy Austrji i cieszy się rozgłosem w obu państwach niemieckich, jako twórca łączący rasowe znamiona germańskie z lekkością i rozmachem typowo wiedeńskim. Rilke, po latach tułaczki, osiadł na stałe w Szwajcarji francuskiej, gdzie w ostatnich latach tworzy także w języku francuskim; jest to typ o dziwnych połączeniach krwi słowiańskiej z germańską, duchem niezmiernie zbliżony do rasy francuskiej, która też dzieła jego w ostatnich latach nietylko tłumaczy, ale do głębi odczuwa, jak własne. Po wielkim poecie erotycznym, jakim był Ryszard Dehmel, przyszli dwaj nowi: patetyczny dydaktyk, pijany kulturą, zmysłowy i elokwentny liryk Hugo von Hofmannsthal — i zwrócony wgłąb, milczący, wobec kultury negatywnie lękliwy Rainer Maria Rilke.

„Przeddojrzały, smutny i subtelny" — słowa, napisane przez 20-letniego Hofmannsthala o jednej z postaci literackich, stosowały się także do niego samego. Ton jego pierwszych wierszy i fragmentów („Wczoraj", „Śmierć Tycjana", „Głupiec i Śmierć") znaczył się melancholją skupioną i dziwnie smutną dojrzałością. W wykładzie publicznym określił wówczas Hofmannsthal poezję jako „namiętność stwarzania ustosunkowań między wszelkiemi istniejącemi rzeczami". Poeta jest według niego „widzem, nie, ukrytym towa-

rzyszem, niemym bratem wszystkich rzeczy... Ludzie i przedmioty, myśli i sny są dla niego czemś jednakowem: on zna tylko zjawiska, wyłaniające się przed nim, zjawiska, od których cierpi, a cierpiąc uszczęśliwia się... Oto jedyne prawo, któremu podlega: żadnej rzeczy nie bronić wstępu do swej duszy... Ustawicznem działaniem jego jest szukanie harmonji w sobie, harmonizowanie świata, który w sobie nosi. Daje on syntezę treści czasu".

Słowa powyższe ułatwiają zrozumienie wierszy Hofmannsthala, wśród których zamieszczona poniżej „ballada" jest jednym z najznamienniejszych. Ta skłonność do stwarzania ciemnych, tajemniczych związków prowadzi poetę niekiedy do zmętnienia, do chłodnego rezonerstwa niemal, na granicę formalnej dźwiękowości słowa. Wierszy jego jest zaledwie jeden tomik (83 strony), a mimo to, mimo szeregu tomów dramatów — autor ich nazwany został poetą lirycznym, nie dramaturgiem. Gdziekolwiek bowiem cichnie nuta liryzmu, tam z artysty (*Künstler*) robi się kunsztmistrz (*Künsteler*). Wymienione wyżej fragmenty sceniczne są lirycznemi monologami (względnie dialogami, tak samo późniejsze „Małe dramaty", „Cesarz i czarownica", „Biały wachlarz" i „Gody Sobeidy". Zmysłowość i groza szerokiego życia objawiają się w starowenckim dramacie „Awanturnik i śpiewaczka", wielobarwnym i błyskotliwym w tle i w języku. Po nim następuje scena dzikiej zemsty i zapachu krwi: „Kobieta w oknie", przygotowująca pierwszy z tematów sofoklesowych: wydana w r. 1904 „Elektra" jest jednem wyolbrzymieniem dzikich instynktów, pełnem koturnowej przesady i głośnego patosu o niebezpiecznem napięciu. Opętańczy taniec straszliwej, zgonionej, biczowanej menady (Opera Ryszarda Straussa, do której tekst Hofmannsthala posłużył jako libretto, mimo nowatorstwa i jaskrawości swej szerokiej skali formalnej, nie stała się zamierzonym kamieniem węgielnym nowej muzyki). Druga tragedja z cyklu tego, „Edyp i Sfinks", której bohater jest bezwolnym pionkiem w rękach nieubłaganego przeznaczenia, jest niemniej mistrzowskiem spiętrzeniem grozy i bezpośrednich działań fatalistycznych potęg. Komedja „Powrót Krystyny" odskakuje od ogólnej linji twórczości Hofmannsthala nietylko tematem, lecz prostotą zarysu postaci, skalą środowiska i po raz pierwszy wykwitającym humorem. Później poeta sięga po problemy społeczne, a nawet polityczne, poczynając od misterjum *„à grand spectacle"* pod tytułem „Wielki Teatr Świata". Na tej platformie znakomity twórca wydaje się nam mniej bezpośredni, jak gdyby odsunięty w sferę bardziej odległą.

Jakże odbija od szerokiego gestu, rozpędzonej zdobywczości afirmatywnego Hofmannsthala — cicha, kobieca niemal sylweta tego tragicznego poety, co do żadnej ojczyzny nie przylgnął żywiołową przynależnością krwi, który w niemieckim języku pisze, a w twórczości swej pociągnął dziwny łuk ponad Niemcami, łuk od Rosji do Francji. W twórczości Rainera Marji Rilkiego znamiennym czynnikiem jest rasa, krew starego i szczytnego rodu karynckiego, pulsująca w ostatnim swoim potomku. Rilke, z całą przesubtelnioną wrażliwością węchu, z całem bolesnem odczuciem ginących światów, czyli z brakiem najbardziej typowych rysów germańskiego prometeizmu— zbyt jest szlachetny w stosunku do swojej teraźniejszości. Czuje i widzi za tysiące — więc cierpi; ale nie jego rzeczą jest walka. Nie apoteoza siły, nie fanfara bojowa, ale boleściwy uśmiech, skupienie dośrodkowe po wchłonięciu bólu świata. Nietrudno dopatrzeć się w Rilkem osobliwych pokrewieństw z poezją polską i z jej miękką, przez siłę wewnętrzną tłumioną tonacją mollową.

Samotność, wielka życiowa i duchowa samotność, zawiodła poetę do religijności. Z umyślnie naiwnych i żarliwych początków „Pierwszych wierszy" i „Powiastek o Panu Bogu" przeszedł do samotnie wizyjnego skupienienia „Księgi Godzin". Po przepojonej uczuciem i widzeniem „Księdze Obrazów", po dwu potężnie dojrzałych tomach „Wierszy Nowych" i wzniosłym hymnie na temat rzeźbiarza „Rodin'a" — pisze największe chyba dzieło swoje, powieść *„Malte"*. Jest to pamiętnik młodzieńca, który w dłoniach rzeźbiącego bólu urasta do symbolu wielkiego Miłującego. Treść tej książki starczyłaby innemu pisarzowi na twórczość całego życia. Każda stronica przepojona jest zwartą, bogatą w każdem słowie treścią najbardziej istotnego bytu. Język poety, niebywale skondensowany, stworzył tu nowy typ prozy.

Rilke dążenia swoje i wzloty syci wieczną, nigdy niezaspokojoną tęsknotą. Twór jego jest zaprzeczeniem gotowego, pełnego systemu filozoficznego. Rusztowania myślowe nie jego są rzeczą. On ciska promienie, myśli, ekstazy, ale nie chce bojować nazewnątrz i zwyciężać. Bo życie tutejsze jest wstępem, jest więzieniem obcem; umieranie jest przejściem do bytu i pewności śmierci.

Rilke nie zadawala się byle czem, dąży do dna każdego słowa i zadanie utrudnia sobie z całą pasją na każdym kroku. Rzadko spotykamy takiej odpowiedzialności pełne poczucie wagi słowa.

Bóg Rilkego jest czemś najzazdrośniej osobistem, czemś, co w trudzie i męce zdobyć trzeba. Najwyraźniejszą definicję swego pojęcia Boga dał poeta w tych oto słowach: „Bóg nie może być p r z e d m i o t e m miłości, — Bóg jest miłości k i e r u n k i e m."

Zamieszczony poniżej wiersz Rilkiego wyjęty jest ze zbioru „Księga Obrazów". Mimo iż należy do wcześniejszych, odźwierciedla w charakterystyczny sposób pojemność, głębię i etyczne napięcie swego autora.

WITOLD HULEWICZ

BALLADA O ŻYCIU ZEWNĘTRZNEM

I dzieci rosną z głębią oczu błogą,
Nic nie wiedzące, rosną, umierają,
A każdy człowiek idzie swoją drogą.

A z cierpkich słodkie owoce się stają
I w noc spadają jak umarłe ptaki
I leżą kilka dni i usychają.

I zawsze wieje wiatr i wciąż od nowa
Czujemy rozkosz, bezwład ciała srogi,
Słyszymy ciągle i mówimy słowa.

I poprzez trrawę biegną liczne drogi,
Miasta są różne (w nich drzewa i stawy),
Zaschnięte trupio, pełne groźnej trwogi...

Pocóż te różne układano plany?
Nierówne nigdy? Cóż ich bezlik mdławy?
Pocóż śmiech, bladość, płacze naprzemiany?

Co znaczą dla nas wszystkie te zabawy
(Za każdym wielka samotność się wlecze),
Gdy nie szukamy, idąc, byle sławy?

Cóż, że się tyle widziało za młodu?
A jednak — kto rzekł: „Wieczór", ten rzekł w i e l e:
Słowo, z którego głąb i smutek ciecze

Jak z pełni plastra ciężkie krople miodu.

HUGO VON HOFMANNSTHAL

(przełożył WITOLD HULEWICZ)

ŚLEPA

OBCY: Ty się nie lękasz mówić o tem?
ŚLEPA: Nie.
To tak dalekie. Tamta była inna.
Ta, co widziała wówczas, żyła głośno,
patrząco żyła — ta umarła.
OBCY: I miała ciężką śmierć?
ŚLEPA: Ach umieranie:
jest okrucieństwem, co trafia nieświadomych.
Silnym być trzeba, nawet gdy umiera
coś obcego.
OBCY: Była ci obcą?
ŚLEPA: Albo się nią stała.
Śmierć nawet dziecku czyni matkę obcą.
Ale to straszne było w pierwszych dniach,
Na całem ciele miałam rany. Świat,
co w rzeczach kwitnie i dojrzewa,
wyrwano ze mnie razem z korzeniami
i pono z sercem razem. Jak zorana
ziemia leżałam otwarta i piłam
łez moich zimne deszcze,
co z martwych moich oczu nieustannie
cicho płynęły, jak gdy z pustych niebios,
kiedy Bóg umarł padają obłoki.
A słuch był wielki, otwarty na wszystko.
Słyszałam rzeczy, których się nie słyszy:
czas, który płynął poprzez moje włosy,
ciszę dźwięczącą w cienkiem, kruchem szkle
i czułam: tuż przy moich rękach szedł
oddech jakowejś wielkiej białej róży.
I wciąż i wciąż myślałam: noc — i: noc—
i zdało się, że widzę jasną smugę,
co mi wyrośnie w wielki dzień;
i zdało się, że idę prosto w zorzę,
co w rękach dawno mi leżała.
Matkę budziłam, kiedy ciężar snu
spadał mi wolno po ciemnej powiece,
matce wołałam: „Chodź, chodź tu!
Zapal świecę!“
Słuchałam. Długo, długo cisza trwała,
moje poduszki, czułam, kamieniały,
potem, jak gdyby blaski zajaśniały:
to moją matkę ból szarpał w kawały,
obym już wreszcie zapomniała!
Zapalże świecę! krzyczałam przez sen:
Przestrzeń runęła! Zabierz ciężar ten
z oblicza mego i z piersi!
Podnieś go, podnieś wysoko
i oddaj znowu obłokom:
ja tak nie mogę żyć, z niebem na sobie.
Lecz czy ja do ciebie mówię, matko?
Do kogo mówię? Kto się ciebie trzyma?
Kto tam jest za tą zasłoną? — Zima?
Matko: wichr? Matko mów! Cień?
Albo: dzień ... Dzień!
Bezemnie! Jak może dzień być bezemnie?
Czy to nie brak mnie nigdzie?
Czy nikt nie pyta o mnie?
Czy nas zupełnie zapomniano?
Nas?... Ależ ty jesteś tam; czy tak?
Czy tobie czego brak?
Wszak ty masz jeszcze wszystko, prawda?
Wszak z twoją twarzą wszystko dookoła
jeszcze się czuli?
Gdy oczy twe sen utuli,
choć były bardzo zmęczone,
mogą wstać uskrzydlone.
...Moje milczą.
Na moje kwiaty zaraza padła.
Zamarzną moje zwierciadła.
A w książkach moich pozrastają znaki.
O obce okna będą moje ptaki
tłuc się i ranić w uliczkach w noc ciemną.
Nic już nie łączy się ze mną.
Jestem przez wszystko opuszczona.
Jestem wyspa.
OBCY: A ja przez morze przyjechałam.
ŚLEPA: Jak? Na tę wyspę?... Przyjechałeś?
OBCY: Jeszcze jestem w łodzi.
Łodzią przybiłem w tę ciszę —
do ciebie. A łódź kołysze:
wieje flagą ku wyspie.
ŚLEPA: Ja jestem wyspa i sama.
Bogata jestem.
Zrazu, gdy stare jeszcze drogi
były w mych nerwach, przez częste nałogi
wyjeżdżone:
cierpiałam też.
Wszystko mi z serca odeszło,
a nie wiedziałam, w którą stronę;
a potem znalazłam je tam wszystkie;
wszystkie uczucia i to, czem jestem
stało stłoczone z wielkim krzykiem
u oczu, co nie drgnęły, już zamurowane.
Wszystkie uczucia oszukane...
Nie wiem, czy latami tak stały,
wiem, że tygodni mnogo,
bo wszystkie złamane wracały,
nie rozpoznając nikogo.
A potem droga do oczu zarosła.
Już jej wskazać nie mogę nikomu.
Teraz wszystko we mnie krąży,
pewne, bez troski; jak ktoś po chorobie,
chodzą uczucia, ciesząc się z chodzenia,
po mego ciała ciemnym domu.
Niektóre czytają
ze wspomnień pokryjomu,
ale najmłodsze
na świat wyglądają.
Bo gdziekolwiek stanę na moim brzegu,
ze szkła są moje szaty.
Czoło moje widzi, a dłoń poematy
czyta z rąk innych ludzi.
Stopa z kamieniem gada, kędy kroczy,
głos mój unosi każdy ptak przeźroczy
z codziennych ścian.
Już mi teraz niczego nie trzeba,
przetłumaczone są barwy nieba
na szmery i wonie.
I nieskończenie mają piękny ton,
jak dzwon.
Cóż mi po książce?
W drzewach wiatr przewraca karty;
znam sens w tych słowach zawarty
i czasem cicho je powtarzać śmiem.
A śmierć, co ścina oczy jak kwiaty,
moich oczu nie znajdzie...
OBCY: (cicho): Ja wiem.

(przełożył WITOLD HULEWICZ)

RAINER MARIA RILKE

MAGNIFICUS DOMINUS

GŁAZY zwietrzałe i pomurszałe bierwiona mają swą wymowę, niepokojąco ukrytą w hieroglifach załamań, szczerb i gruzów. Los je sam pisze alfabetem dziwnie wyraźnym dla melancholijnych podróżników w zaświaty górnego życia praojców. Duchy przodków tłumem zbierają się w letnie, czy w zimowe, zawsze poetyczne ranki nad wyniosłemi brzegami Huczwi. Rzeka chłodnem ramieniem obejmuje zamek Łaszczowski, z którego murów wyłania się cień od wieżyc topolowych wyższy, dostojny i legendowy.

— Magnificus Dominus.

Taki tytuł nosił za życia, przez przyjaciół w mowie, a urzędy ziemskie, grodzkie, trybunalskie i sejmowe w piśmie mianem „Wielmożnego Pana" czczony, Paulus-Ignatius bini nominis Abdank, dziedzic Łaszczowa z przyległem. O nim opowiadają z kornem uznaniem odłamki kolumn dłonią wieków przekształcone w postać starego sługi, co pamięta o tradycji, zda się nieprawdopodobnej, a zawsze prawdziwej i fragmentami opisanej w dawnych archiwaljach.

— Pies - wilczyca, mości panie, okazał się mężnym nie sługą, ale przyjacielem; rozkaz spełnił i zginął.

Tak mówi, po skończeniu opowieści znów kamieniejący famulus, który w dzień kwietniowy zaczyna swe opowiadanie od momentu, gdy latem Anno Domini 1794 „Pan" szedł do ulubionego swego ośmiookiennego alkierza, gdzie w samotnych rozmyślaniach towarzyszył mu tylko pies-wilczyca.

. . . .

Szli, Magnificus i pies, przez rokokowo strojne, niespokojną fantazją pstrzące się, z woli lubiącej nowość Jejmości, antyszambry, przez komnaty nazwą obić zwane „czerwonemi" lub „zielonemi", koło olbrzymiego kredensu, uginającego się pod ciężarem sreber augsburskiej roboty, a godnie świadczącego o uprzejmej „ludzkości" gospodarzy. Szli, depcąc kaszmirskie szale, usłużnie na ziem pod stopy pańskie rzucone, a równie bezcenne, jak owijające ścianę arrasy. Bogato rzeźbione sopraporty witały idących grą świetnych kolorów malowideł, a co krok rękodajny, „manu stipulatus", stał obok wykwintnych mebli i pańskiej klamki.

Ogromny, szeregiem wysokich okien rozjaśniony alkierz, wyróżniał się od innych komnat prostotą sprzętów, obitych skórą i białością ścian, na ktorych czerniały portrety dawnych dziedziców: Łaszczów, Gorayskich, Potockich, sukcesją własność swą oddających w dłonie Wielmożnego Pana Abdanka.

Magnificus siadł w dębowem krześle, a przed nim ogromny pies, okaz dzikiej, wspaniałej wilczycy, oczekiwał na pieszczotę lub znak odejścia.

Był początek lata; jednak duszne upalne powietrze, wysysające woń z podokiennych jaśminów, ściemniałe już liście bluszczów, wnikających za framugę, i ciężkie kopuły topolowej alei przypominały o konieczności nadejścia mglistej jesieni, co miała oszronić i zabić piękno kwiatów i liści.

W owej chwili drzewa dawały osłonę smukłej postaci niespodzianego gościa. Menuetowo sunął ku ganeczkowi, wiodącemu do komnat Jejmości, Stephan baron de Trauenstein.

Z zimnego wyrachowania działający ajent c. k. gubernium, zdążając do osięgnięcia szpiegowskiego celu, upozorował swe częste odwiedziny życzeniem słodzenia chwil nudy Angeli de Liniewskie Abdank, wychowance sentymentalnych bajkopisarzów, żywiącej nigdy niesformułowane słownie uczucie zawodu życiowego, wynikłego ze związania się „dozgonnym kontraktem" z Wielmożnym Pawłem Ignacym bini nominis Abdank.

Przedwcześnie przerwała się sielanka. Ściemniały już liście krzewów, świadczących o przedwczesnym wybuchu żywotności sił przypołudniowej przyrody, która, jakby chorobliwie wyczerpana, miała zwiędnąć, zeschąć i zawieść nadzieje. Ale tylko na chwilę, aby potem w całej pełni dać świadectwo niezwyciężalnej, wspaniałej radości życia.

Pan spojrzał na psa — zrozumieli się.

Tak. Człowiek i zwierz, cząstki tej samej przyrody, prawie jednako uczuwali rozkosz wchłaniania krwią, oddechem cudnej atmosfery świetlistego spokoju i ciszy nastrojów rozwijania się, mężnienia, wzrostu.

— Tu jesteśmy sobie równi — mówił swym wzrokiem Pan, doskonale rozumiejąc się z czworonogim przyjacielem, którego oczy odpowiadały pytaniem:

— Czy tylko tu?

Paulus Ignatius bini nominis Abdank, dziedzic Łaszczowa, Typina, Małoniża, Nadolców, Podhajec, Domaniża, Czerkasów, Kłoskowa, Woli i innych, uczuwał w tej chwili owładnięcie jednopromiennością nastroju, który kazał mu w jasnych barwach widzieć czasy i ludzi, mogących za chwilę okryć się cieniem uczuć innych, niż te, co teraz wygładzały zmarszczki na jego wysokiem, białem czole.

Skwar letni zniewalał do milczenia. Ogród łaszczowski żył w całej krasie swych niewyczerpanych wdzięków; ku niemu też biegło w milczeniu spojrzenie. W przedziwnej manjery włoskim parku, ozdobnym „jako raj ziemski" na wzór jaworowskich sadów Sobieskiego, płakały radosnemi łzy fontanny, powabnie czaiły się schadzki-altany, kunsztowne chłodniki i kwatery, statuy kupidynów, faunów i bachantek. Z szerokiej wydmy piaszczystej, ze wszech stron okolony ciemnemi wodami bystrej Huczwi, patrzył zamek na miasto i trzy przedmieścia, trójzębem wrzynające się w zieleń, w pozłotę urodzajnych pól i łąk.

Za niemi hen... po przez hetmańskie gniazdo, Zamość, przez wojewódzki, trybunalski Lublin, za wałem borów, chat, dworków i dworów, pełnią bujnego życia dysząc żyła Warszawa. Niedawna stolica Buxhövdena i Repnina, illuminowana wzniosłością trzeciomajowych widoków, potem znowuż ugięta tyrańską stopą Igelströma, a teraz paląca się pochodnią kościuszkowskiej insurekcji.

Ten płomień nie mógł być gromnicą. Nie „finis"— ale renesans Polonii muszą ukwiecić żagwie narodowego powstania.

Tysiąc różnorodnych zagadnień, domagających się natychmiastowego rozwiązania, szarpało żelaznym pazurem przędziwo myśli Pawła Abdanka, sędziego buskiego. Jedno pytanie, najważniejsze, wciąż powracało, uwypuklając się w sformułowaniu coraz dobitniej:

— Czy obywatel ocali cnotami swemi państwo, czy Państwo—Patria tchnieniem swej duszy zmiecie lęgnące się wśród jego żywych kolumn występki. Zaiste, trzeba zgody między starą tradycją i biegiem krwi wiekowego olbrzyma a przekonaniami jednego pokolenia.

Czy cnota i zwycięstwa Polonii ocalą cnotę polskich ognisk domowych, czy raczej święte prawa familji ocalą gmach Sarmacji?

Dotąd, wobec klęsk krajowych, pocieszał się Magnificus świadomością, że jego res sacra, ognisko domowe, żarzyło się jasnym płomieniem na niezbezczeszczonym ołtarzu. Pragnął gorąco, by z każdego gniazda zacnych

rodów niesiono głownię, składaną ofiarnie w ojczystej świątyni.

I teraz, wspomniawszy o tem swojem desiderium, a pomnąc też, iż dawno niewidziani krewniacy niespodzianie zapowiedzieli swój przyjazd, wyszedł z komnaty, by już nie widokiem pięknego pejzażu, lecz harmonji zgodnych uczuć rozjaśnić zmroczone pola swej myśli. Pies ociężałym chodem sunął za panem.

. . . .

W jednej z sal, ściemnionej ciężkiemi firankami z szafirowego aksamitu, chwytanego w wysrebrzane zęby bronzowych lwów, urocza *„mademoisel e“* Erna von Linden zanudzała się, usiłując wtajemniczyć małoletnie: Cathérine, Anasthasie i Pauline w zawiłą regułę gramatyczną, kunsztownie ilustrowaną poglądowem porównaniem z wymyślnemi rygodonami tanecznemi. Na widok swego chlebodawcy sprytna Niemka, okazawszy szczególne zaniepokojenie, pod pozorem przyniesienia sobie wonnej winegreli, wybiegła w stronę apartamentów Pani. I sędzia skierował tam swe kroki, rozchmurzywszy zadumę śmieszną pomyłką najulubiejszej z córek, imienniczki swej, Pauline. Zacząwszy bowiem z przejęciem recytować: *„Je chante ce héros...“* nagle urywek eposu wolterjańskiego skończyła słowami, „Pieśni Odjazdu“. Méhul'a. *„Le peuple souverain s'avance... La Republique nous appelle“*.

Przy odrzwiach do niewielkiej intimnej bawialni swej żony „Magnificus“ znów spotkał pannę von Linden, czyniącą gest wejść wzbraniający. Miała postać kolczastej, niepłodnej rośliny zwisłej przy bramie zakazanego dla śmiertelników sezamu, ale siła męskiego ruchu dziedzica kazała opaść jej ramieniu, a jej samej znieruchomieć.

Pan bezszelestnie uchylił kotarę i zdumienionemi, później gniewem zbolałemi oczami objął scenę zabijającą mu serce.

Stephan baron de Trauenstein brał w niewolę Angelę z Woyna — Liniewskich Abdank.

Nigdy piękność grzesznego anioła pochylonego nad swą słabą ofiarą nie uwydatniała się wyraziściej. Najwykwintniejszy wiedeński lekkoduch, dworak, dyplomata, oszust, szpieg, lichwiarz, arystokrata, przedstawiciel rasy panującej, utajonemi węzłami krwi splecionej z cnotliwą „Apostolską Mością“ był wytwornym łowcą.

— Jest to, mówił, nieodmiennem życzeniem rządu cesarskiego... — Przy wymawianiu tych urzędowo brzmiących słów delikatna, natchniona, półdziecięca twarz uroczego barona mieniła się różą spłonionych uczuć, nieodpowiadających oschłej napozór treści rozmowy.

— Hrabia Brygido, gubernator naszego monarchy, przypomina, że provinciae reincorporatae cieszą się szczególną łaską i z mocy najwyższego patentu z dnia 13 miesiąca Juli tytuły Sacri Romani Imperii, tylko jedną czwartą taksy kosztujące, są przychylnie wiernym poddanym udzielane...

Przerwał. Śnieżyste z brabanckiej koronki żaboty zafalowały na cudnym błękicie fraka i zetknęły się z komandorską odznaką krzyża germańsko - rzymskiego; świetny racymor płaszcza włóczył się po posadzce; dźwięk głosu przybrał odcień deklamacji. — Pójdziemy śladem imci panów Krukowieckich, Golejowskich... Jegomość Horoch, pisarz buski, podwładny *de votre mari*, kupił już tytuł barona... Cóż więc należy się zwierzchnikowi...

Z pod białej westy wysunął się złośliwie pendent wątłej szpady.

— Hrabia Brygido, gubernator odzyskanych prowincji, rad będzie za wszelkie poufne informacje w kwestjach politycznych, co ułatwi łaskawa medjacja, per procura działającego wielmożnego pana Abdanka...

Chwila milczenia i znów słowa wyrzeczone wysilenie spokojnym tonem: — Relacje rząd sowicie wynagradza. Postanowioną jest rzeczą, iż w pierwszych dniach Juli armje najjaśniejszego pana, dotąd cierpliwie rozpatrującego bieg wypadków, ruszą z miejsc dotychczasowego postoju, okupując województwo lubelskie.

— Czy to też będzie reinkorporacją tych odzyskiwanych prowincyj? — z zalotną ironją wtrąciła pani.

— O tak... — Spostrzegł się, że to potwierdzenie było śmieszną niezdarnością, ale już nie panował nad sobą: temperament spłomienił zimną miarę urzędowego wyrachowania... tama zerwała się... łańcuch pękł.

— *Je vous adore...*

Potem najtkliwszy, znużeniem oczekiwania drżący szept wędrownika, czołgającego się do kryształów źródła wymarzonych ukojeń:

— *...et je vous aime...*

Różowy hjacynt musnął figlarnie jego zbielałą teraz, chylącą się ku niej twarz antinousową i owionął dusznym, upajającym zapachem, złudnie rozgrzeszając z żaru namiętności; mieniąca się wstęga opadła, odchylając koronkowe ogarnirowanie dłoni, z kocim, pozornym lękiem sunącej ku nieskalanej bieli.

— *...et je vous plains... o ma déesse...*

Frazesem była ta najboleśniejsza skarga. Czyż miał smętkiem narzekań zmroczyć ową chwilę?

Złota pszczoła szła zwolna po szybce niedomkniętego okna i nagle poderwawszy się spadła na gałąź jaśminów, zagłębiając żądną rozkoszy i żeru główkę w rozwartym, czekającym na nią kwiatowym kielichu; długonogi, potworny pająk z akrobatyczną chyżością zbiegł po wązkiej nitce srebnobłyskiej pajęczyny, by w drapieżny uścisk schwycić złotozieloną muszkę; pasorzytny powój wplątywał się w zwoje dzikiej winorośli, korzeniem zagarniając odżywczą ziemię, liśćmi chłonąc pokarm powietrza i światła, a w zdobywaniu bogactw rodzajnej gleby towarzyszyła mu niewinna fala Huczwi, głaszcząca w zabójczej pieszczocie wyniosłe, jasne czoło pobrzeża, na którem pojawiały się coraz liczniejsze zmarszczki i brózdy.

Owady, zwierzęta i żywioły, opanowane i poddane prawu zdobywczości podstępnej, spragnionej łatwych upojeń, wyniszczały się wzajemnie, tworząc jednak czarowny, urozmaicony zabiegliwym ruchem obraz życia przyrody. Człowiek nie mógł być wyjątkiem. Żadna namiętność nie może zastygać tylko w ekstazie zachwytliwej — zżarłaby organizm będący jej siedliskiem.

— Zabiłaby tylko ciało, ale nie silną duszę—dodał Magnificus, i hypnotyzującym wzrokiem unieruchomiwszy wylękłą Ernę von Linden, wracał do swych komnat.

Na progu do alkierza pies prosząco otarł się o pańskie kolano. Pan przypomniał sobie o nim i dał oczami rozkaz:

— Zabij.

Wilczyca przyczaiwszy się pomknęła z powrotem.

Parę minut przeszło w niezamąconej ciszy. Nagle z oddali stary od hana przez naddziada otrzymany zegar bić począł, dźwiękiem popychając leniwe godziny, a wnet potem niewielki bronzowy zegar jął rozbrzmiewać polonezowym kurantem; słodkie, miarowe, śliczne tony skończyły się fałszywym akordem jakiegoś dzikiego ziewnięcia bestji nasyconej. To wilczyca weszła, a ziewnąwszy ukazała spurpurowiałe zęby i sfioletowiałe czarne wargi: spełniła rozkaz.

Pan uspokoił się nieco: zwyczajnie ukarał złą sługę, Ernę von Linden, Niemkę z Alzacji, emigrantkę przed rewolucją Jakobinów; karał, bo tak mu się spodobało, a karą tu mogła być tylko śmierć. Ale na co zasługuje baron, dyplomata cesarski i królewski?

(*Dok. nast.*) MIŁOSZ GEMBARZEWSKI

LIBERUM VETO

Prawda Wł. Grabskiego—Coby się stało, gdyby prezydent nie ustąpił a marszałek Sejmu nie okazał gotowości do usług?—Ułatwienie i uprawnienie rokoszu—Przeniesienie rządu do Poznania.—Skutki najazdu—Porównanie historyczne.

NIE dziwi mnie to wcale, że „mąż zaufania i przyjaciel“ p. St. Wojciechowskiego p. Wł. Grabski uznał niesprawiedliwość moich uwag o zachowaniu się b. prezydenta podczas rokoszowego napadu na Warszawę, bo dla przyjaciela i męża zaufania wszelka krytyka przedmiotu jego uczuć jest zawsze niesprawiedliwa. Nie dziwi mnie również jego mniemanie, że te moje uwagi uznane zostaną po za nim za „uchybieni zdrowemu instynktowi narodowemu“, bo sam karciciel tego mojego grzechu, jako kilkakrotny minister, nieraz dowiódł, że nie widzi i nie rozumie rzeczywistości. Nie dziwi mnie wreszcie, że użył względem mnie języka monopolu patrjotycznego, bo jest to zwykły styl większości prasy naszej w polemikach politycznych. Nie smuci mnie też jego ujemna opinja o moim „braku subtelności w odczuciu momentów i nastrojów dzisiejszych“, bo dobra cenzura z tej zdolności od surowego egzaminatora jest mi wcale niepotrzebna. W odpowiedzi na jego zarzuty ograniczę się do rzeczowej analizy samego faktu.

Dlaczego prezydent usunął się z Warszawy do Wilanowa i oddał swą władzę marszałkowi Sejmu? Dotychczas tłumaczono ten krok pobudką zaprzestania przelewu krwi w wojnie bratobójczej. Pobudka ta, płynąca niewątpliwie ze szlachetnego źródła, nie była usprawiedliwieniem wystarczającem. Bo we wszystkich walkach wewnętrznych, we wszelkich tłumieniach buntów i rozruchów wylewa się krew bratnia, a ten wzgląd nie powstrzymuje prawowitej władzy od takiej ofiary. Gdy zbierze się tłum, pobudzony przez agitatorów i zamierza dokonać jakiegoś gwałtu, dla rozpędzenia go i uśmierzenia rząd nie cofa się przed użyciem siły zbrojnej i zabijaniem opornych. Napad rokoszowy różnił się od innych, bardzo częstych, tylko swemi rozmiarami a nie istotą. Jeżeli więc osaczony przez rokoszan rząd chciał — a powinien był — bronić konstytucji narodu i zasłonić go przed niebezpieczeństwem rozstroju, obowiązany i upoważniony był do odparcia napadu siłą, dopóki tylko ją posiadał, nie bacząc na rozlew krwi, która by nie jego shańbiła. Tu zresztą była w grze stawka większa, niż godność osobista.

Wł. Grabski wysuwa inną przyczynę rezygnacji prezydenta — wyczerpanie się tej siły i niemożliwość dalszej obrony. Przyjmijmy to tłumaczenie i zastanówmy się, czy i w tym wypadku rząd wraz z prezydentem nie powinien był pozostać na miejscu? Przypuśćmy, że rokoszanie po zwycięženiu załogi wchodzą do Warszawy— co się wówczas dzieje? Z ministrami nie robią sobie ceremonji, ale co innego z głową państwa, otoczoną powszechnym szacunkiem. Czy p. Piłsudski zamknąłby prezydenta w więzieniu, jak postąpił z opornymi generałami? Coby począł, gdyby usłyszał od niego takie słowa: „Ponieważ masz pan większą siłę dla popełnienia gwałtu, niż rząd dla odparcia go, więc czyń, co ci się podoba. Ale ponieważ jesteś buntownikiem, nie chcę z tobą wdawać się w żadne układy“. Niewątpliwie p. Piłsudski znalazłby się w ciężkim kłopocie i albo nie wiedziałby, jak zakończyć swój napad, albo zakończyłby go w sposób, z którego nawet swoją megalomanją nie wygniótłby najmniejszej dla siebie chwały. Brak oporu wyprowadził go z trudnego położenia. Uwagę, że prezydent ustąpił bez protestu, Wł. Grabski zbija wprost naiwnym argumentem: „A czemże były słowa wypowiedziane przez S. Wojciechowskiego na moście Poniatowskiego, jak nie najsilniejszym wyrazem protestu?“ Pomijając okoliczność, że te słowa na moście nie były nigdy i nigdzie ogłoszone z urzędową ścisłością, czy można je uważać za „najsilniejszy wyraz protestu?“ Czy taka rozmowa w cztery albo nawet dziesięcioro oczu jest właściwą formą napiętnowania rokoszu przez głowę państwa?

Z jednego błędu zrodził się zaraz drugi, już konieczny — przelanie władzy prezydenta na marszałka Sejmu, człowieka kauczukowego, bez kośćca politycznego. Gdyby p. Rataj był Trąmpczyńskim, nie tylko do p. Piłsudskiego by nie poszedł, ale by go nie chciał przyjąć a zmuszony do spotkania powiedziałby: „Jestem obrońcą konstytucji, którą pan zgwałcił, jestem przewodnikiem ciała prawodawczego, które pan zbeszcześcił, mogę więc być tylko obezwładnionym świadkiem pańskiego rokoszu, ale w żadnej roli jego uczestnikiem“. Znowu p. Piłsudski znalazłby się w położeniu bez łatwego wyjścia, a gdyby je znalazł, nie padłby na nie najmniejszy promień światła. Tymczasem gdy p. Rataj zaofiarował swe usługi w utworzeniu rządu, sytuacja nie tylko się zmieniła, ale uprawniła. Uprawnienie to stało się zupełne, gdy zwołany przez marszałka Sejm, westchnąwszy płytko i wypowiedziawszy kilka frazesów umiarkowanego żalu, przystąpił do obrad z narzuconym mu rządem, jak gdyby najlegalniej utworzonym. Od tej chwili rokosz przestał być bezprawnym gwałtem, a stał się konstytucyjną zmianą gabinetu, o tyle różną od poprzednich, że dokonaną według woli dymisjonowanego generała, co jest usprawiedliwione wobec zamierzonego poprawienia konstytucji. Wszystko to spełniło się dzięki ustępliwości prezydenta i giętkości marszałka Sejmu.

Z opowieści gen. St. Hallera w „Głosie narodu“ dowiadujemy, się że w otoczeniu zgnębionego prezydenta rzucono myśl jego wyjazdu do Poznania, przeniesienia tam siedliska rządu i prowadzenia dalszej walki z rokoszem. Niewątpliwie byłby to zwrot godniejszy sytuacji i osób w niej działających, ale groziłby głębokiem rozdarciem państwa i długą wojną wewnętrzną, zwłaszcza że p. Piłsudski nigdy nie przestrasza się najokropniejszemi skutkami swego postępowania i że po za swoją megalomanją nic nie rozumie.

Obecne położenie jest może najgroźniejszem i najnieszczęśliwszem z tych ciężkich, w jakich znalazła się wskrzeszona Polska. Sejm bez powagi i ambicji, rząd bez oparcia w narodzie, a właściwym rządem państwa jest ukryty w tajemnicy i nieodpowiedzialności spiskowiec, który zawładnąwszy największą siłą, wojskiem, może nią złamać wszelki opór i narzucić rządowi swoją nieobliczalną i bezmierną w swej pysze wolę. Do tego dołącza się rozstrój wewnętrzny i zuchwałe, prawie bezkarne wichrzenia wrogów państwa. Jedną z najsromotniejszych operacyj rokoszu było rozdanie kilkunastu tysięcy karabinów ochotnikom cywilnym, między którymi był znaczny procent opryszków i którzy nie zwrócili broni, pomimo że polowanie na podejrzaną a najczęściej niewinną ludność już urzędowo się skończyło. W rozmaitych punktach kraju wybuchają ciągle napady uzbrojonego motłochu, który albo „pogłębia rewolucję“, albo dokonywa „sanacji moralnej“ za pomocą gwałtów i zbrodni. Sponiewierany, zelżony Sejm odważa się na jeden czyn, mający powstrzymać ogólne rozprzężenie — na interpelację. Tu powtarza się smutno-komiczna scena z chłopem, który „przemówił do obrazu a obraz do niego ani razu“. Właściwie bowiem wszystkie te interpelacje zwracają się do p. Piłsudskiego, który na nie wcale nie odpowiada, który nawet wcale nie ukazuje się w Sejmie, chociaż powinien wyjaśnić, dlaczego trzyma w więzieniu generałów, którzy bronili prawowitego rządu.

Po rozważeniu przebiegu i następstw rokoszu, niech politycy i publicyści, obdarzeni „subtelnością w odczuciu warunków i nastrojów dzisiejszych“ oraz „zdrowym instynktem narodowym“ odpowiedzą, czy to, co się stało, rzeczywiście tak się stać musiało, czy zacny, ale zbyt miękki prezydent nie mógł postawić rokoszowi potężnej zapory, czy najwłaściwszym z jego strony czynem była ucieczka do Wilanowa i oddanie swej władzy p. Ratajowi? W jego otoczeniu znajdował się jeden człowiek, wojskowy, który mu doradzał wytrwanie na stanowisku i którego nazwiska nie podaję, ażeby go nie wskazywać brutalnej zemście. Ale go nie usłuchano. Wzruszony rzewnemi prośbami prezydenta i pokonany osamotnieniem, opuścił szlachetną głowę i milcząc uległ. Widok siedzących nieruchomo w swych krzesłach senatorów rzymskich, oczekujących wejścia zwycięscy, nie był tylko piękną sceną teatralną, lecz wspaniałym obrazem potęgi ducha obywatelskiego, który nawet na barbarzyńcę zrobił większe wrażenie, niż najczulsze przemówienia. Niech ludzie poczciwi, patrjoci rzetelni nie obrażają się zarzutem, że nie podołali zbyt trudnemu zadaniu. Brak siły nie jest winą, ale nie trzeba uparcie twierdzić, że tą siłą była słabość.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

MIEJSCE SPOTKANIA

CORAZ częściej słyszeć można zdanie, że stronnictwa umiarkowane (prawica) powinny szukać sposobu porozumienia się ze sprawcami zamachu majowego, a więc formalnie z obecnym rządem, faktycznie zaś z ministrem Piłsudskim. Wydaje mi się, że — jeśli istotnie chodzi o porozumienie — to niema kontrowersów równie do rozwiązania prostych.

Gdy mowa o obozie narodowym, to on stoi na stanowisku łatwem do odszukania, a nawet więcej: takiem, które obowiązani są znać wszyscy Polacy, a wszyscy Polacy dobrej woli rozumieć, nawet zasadniczo podzielać. Bez specjalnych studjów nad zajmowanemi w bieżących zagadnieniach stanowiskami tego obozu łatwo zorjentować się w jego metodzie traktowania spraw politycznych — jest to metoda rzeczowa dochodzenia celu, którym jest zawsze tylko i n t e r e s n a r o d u. Tu jest miejsce spotkania z tym obozem. Innego miejsca nie umielibyśmy sobie wyobrazić. Tutaj czekamy na wszystkich z wyciągniętą ręką. Wyciągniętą — mówiąc obrazowo — albo po bratersku, albo po faszystowsku. Nie chcemy zaś spotykać się tutaj w warunkach, które stwarza odmienna metoda obcowania „politycznego“, posługująca się hasłem: ręce do góry! Myśmy tej metody porozumienia nie pochwalili ani w maju 1905, ani w maju 1926. Ręce braci są do zwarcia w kolisku, do współpracy i współwalki, gdy się spotykają na terenie interesu narodowego.

Daremniebyśmy czekali innego punktu spotkania po tamtej stronie. Nie wiemy, co będzie jutro, ale mamy oto 15 lipca, dwa miesiące od 15 maja, a nie dano nam z tamtej strony swego adresu. Nigdzie śladu programu. Było jakieś ogólne i zdawałoby się dogodne miejsce spotkania w haśle „odrodzenia moralnego“, ale okazało się ono mistyfikacją. Grupy posiłkowe — grożące tam dyktaturą swoją — wskazują nam miejsce rewolucji socjalnej. Tam ręki po bratersku nie wyciągniemy. Od Żydów, od p. Babiańskiego i od p. ministra Młodzianowskiego dowiadujemy się, że możemy razem przerabiać Polskę na państwo federacyjne, że ją możemy parcelować i rozdawać na użytek mniejszości narodowych. My Polski ćwiartować nie zdolni, wyprzedawać Ojczyzny nie umiemy.

Zapraszają nas na podwórko do Sulejówka. My tam się nie zmieścimy. Chodzili już tam ludzie, perswadowali, może błagali w imię dobra Polski, ostatnio wychodzili na spotkanie na most, ale ten Rubikon był sforsowany w imię zasady: nie może być porozumienia!

Wszystkie drogi, jak do Rzymu, wiodą w życiu do jednego celu: trwania i spotęgowania życia. Inne drogi są śmierci. Jeśli chodzi o naród, to te drogi dostępne są rozumieniu wszystkich, kto szlachetny i poczytalny. Trzeba szczególnie złośliwej doktryny lub złej woli, aby te drogi forsować w przeciwnym kierunku — ku śmierci narodu. Kto pragnie jego pomyślności, ten wie gdzie się spotkać, aby o niej radzić i ją tworzyć. Nas tam zawsze znajdzie.

(X)

KTO WALCZY O RZĄDY W POLSCE?

PEWIEN dyplomata zagraniczny w Warszawie w rozmowie z korespondentem „Kur. Poznań.“ wyraził przekonanie, że w Polsce nie sprawują faktycznie rządów ani premier Bartel, ani min. Piłsudski: „Kto rządzi — nie wiem. Przypuszczam, że jakaś klika, mafja osób, blizko z sobą związanych“. Dogadano się w rozmowie do faktów, mianowicie, że ministertswem spraw zagranicznych kieruje faktycznie p. Szymon Askenazy za pośrednictwem p. Knolla, który udziela wskazówek min. A. Zaleskiemu.

Widzimy teraz w Warszawie to samo towarzystwo, które w r. 1917 bądź w Rosji, bądź zagranicą prowadziło robotę przeciwko Entencie w interesie separatywnego pokoju niemieckiego z Rosją. P. August Zaleski, dzisiejszy minister spraw zagranicznych, wówczas ustanowił w Londynie placówkę Lednickiego i narzucony był przez niego Tereszczence do ambasady rosyjskiej w Londynie jako reprezentant do spraw polskich. P. Zaleski wydawał tam pisma, jedno po angielsku *„Polish Review“*. w którem brzmiała nieustanna dla Lednickiego reklama, jako tego, który jedynie ma prawo reprezentować Polskę wobec mocarstw. P. Zaleski pozostawał w porozumieniu z p. Sz. Askenazym, który prowadził roboty w Szwajcarji, pozorując swoje *alibi* w Komitecie pomocy ofiarom wojny, gdzie mu dawało osłonę nazwisko Sienkiewicza. Robotę prowadzono bardzo oględnie, dopóki nie zatrwożył spiskowców fakt urzędowego uznania przez Ententę Komitetu Narodowego w Paryżu, jako przedstawiciela Polski. Zrzucono wtedy maskę.

Intryga w Anglji nie miała wielkiego powodzenia. Pełnomocnik rosyjski w Londynie Nabokow skompromitował intrygantów w oczach Tereszczenki, opinja angielska również poznała się na nich. W rocznicę Kościuszkowską zorganizowano w Londynie święto polsko-angielskie, aby wywołać deklarację w sprawie polskiej. P. Zaleski, oprócz wybitnych Anglików, wpisał do Komitetu obchodu z Polaków: Askenazego, Lednickiego, Baudouina de Courtenay, siebie, Wł. Mickiewicza, Art. Osuchowskiego, Dziś już wszyscy wiedzą, skąd się wziął ten zespół. „Morning Post“ zrozumiał jego charakter i w artykule p. t. „Sprawa Kościuszkowska“ skierowała gorzkie słowa ku tym Polakom, którzy „wygrzewają się dziś w słońcu wielkiego imienia Kościuszki“, a nie chcą walczyć z Niemcami. Dziennik ten wytknął wtedy Askenazemu i Lednickiemu intrygi przeciw Entencie. „The New Witness“ pod adresem Askenazego pisał wprost:

„Jest rzeczą trudną odróżnienie Żydów od rdzennych mieszkańców kraju, który Żydzi chcą reprezentować... Nazwisko Sz. Askenazego wszędzie jest cytowane jako powaga

w sprawach polskich. Liczni szczerzy patrjoci z prawdziwej sympatji ku Polsce skłonni byli przywiązywać wagę do wywodów tego uczonego a nie zasługującego na zaufanie Żyda. Wszędzie spotykamy te same zjawiska, związane z propogandą żydowską. Spotykamy Żydów jako popleczników sprawy robotniczej, zwolenników pacyfizmu. Jakakolwiek wszakże jest ich maskarada, ich rozwiązanie sytuacji europejskiej niechybnie zawsze jest korzystne dla Niemiec".

Wszystko pozostało w dawnej konstelacji. Ilekroć zaćmi się słońce nad Polską, zawsze występuje widzialny gołem okiem gwiazdozbiór Sz. Askenezego i towarzyszy. W r. 1922, gdy masonerja gotowała się do wyboru Prezydenta, ukazał się na widowni, zrazu jako minister, Narutowicz ze Szwajcarji. P. Askenazy wypłynął jako delegat do Ligi Narodów, p. Zaleski kręcił się tam w sprawie Wilna. P. Lednickiego, który miał już zostać posłem w Berlinie, powstrzymał za skrzydła ciężki proces. Proces ten w zdrowem społeczeństwie powinien był pogrzebać razem z nim wszystkich wspólników. Ale właśnie oto walczy ten obóz w Polsce, aby żył i nawet rządził. Jest to obóz żydowskiej polityki, której Lednicki był narzędziem, maskowanej okupacji żydowskiej.

Dlatego spostrzeżenia dyplomaty zagranicznego, przytoczone na początku, maja głębsze uzasadnienie. Pouczają nas one, że nie trzeba się bawić w anegdoty o figurach na scenie, lecz baczyć czyja ręka je wysuwa.

EFEMERYDY

RZĄD p. Bartla z podjętej przez się inicjatywy zmiany Konstytucji uczynił główną oś swego programu, starając się wpoić w opinję publiczną przekonanie, że wprowadzenie w życie projektowanych reform ustrojowych będzie, jeśli już nie jakiemś *panaceum*, mającem z gruntu uleczyć najpoważniejsze niedomagania naszego życia państwowego, to przynajmniej ogromnym krokiem naprzód w kierunku usunięcia tych niedomagań. Nie od rzeczy zatem będzie zastanowić się nad istotą zawartych w projekcie rządowym korektyw do ustawy marcowej, nie dotykając zresztą ani fragmentaryczności projektu, ani jego nieskoordynowania z całością konstytucji.

Projekt rządowy nadaje Prezydentowi Rzeczypospolitej prawo względnego *veta*, prawo rozwiązywania Sejmu i Senatu za zgodą jednej z tych Izb lub na wniosek Rady ministrów, oraz prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy w czasie rozwiązania Sejmu, albo, na mocy szczególnego upoważnienia, w czasie, gdy Sejm jest zamknięty.

Prawo *veta* Prezydenta Rzeczypospolitej istnieje w przeważnej większości ustrojów demokratycznych, opartych na systemie rządów parlamentarnych. Jednakże w ustrojach tych jest ono fikcją. Tak n. p. przewiduje je konstytucja francuska z 1875 r. Żaden jednak z prezydentów Francji w ciągu przeszło połowy stulecia z uprawnienia tego nie korzystał. W Anglji ostatni wypadek *veta* miał miejsce około dwustu lat temu, w Belgji — w kilku podrzędnych wypadkach, w Czechosłowacji — ani razu. Przepis ten został martwą literą. Dlaczego? Gdyż — jak słusznie stwierdza Esmein — jest on sprzeczny z istotą parlamentaryzmu.

W systemie rządów parlamentarnych prezydent jest głową państwa, lecz — pozbawiony odpowiedzialności— nie może być głową rządu. Rządzi zań gabinet ministrów, odpowiedzialnych przed parlamentem. W tych warunkach konflikt z powodu uchwalenia przez parlament ustawy wbrew stanowisku rządu możliwy jest jedynie między parlamentem a rządem. A skoro konflikt taki nastąpi, będzie on oznaczał, że rząd nie cieszy się poparciem sejmu, wobec czego musi albo ustąpić albo skłonić prezydenta do rozwiązania parlamentu, powierzając swe losy niepewnej opinji wyborców. W ten sposób zastosowanie praktyczne prawa *veta* musiałoby pociągnąć za sobą konieczność skorzystania z innego uprawnienia —prawa rozwiązywania parlamentu. Konstytucja francuska obdarza głowę państwa tem prawem. Jedynym wypadkiem zastosowania go w życiu było rozwiązanie Izby Deputowanych w r. 1877 przez marazałka Mac-Mahona. Znane są smutne następstwa tego posunięcia, które, zdaniem prof. Laffon-Montels'a, zdyskredytowało samo uprawnienie. Mac-Mahon, Grévy, Casimir-Perrier, Millerand ustąpili przed upływem kadencji, żaden z nich jednak — z wyjątkiem pierwszego — nie podniósł ręki na parlament. Korzystniej jest mieć do czynienia z izbą o określonym i znanym składzie, niż kierować ster nawy państwowej w odmęt fluktuacyj wyborczych, które nawę tę wynieść mogą na nieznane zupełnie piaski. Rozumie to zresztą i rząd p. Bartla, gdy ku oburzeniu lewicy przeciwstawia się wnioskom o rozwiązanie Sejmu. Na rozwiązanie parlamentu w wypadku konfliktu między nim a rządem mogą sobie pozwolić tylko państwa o specyficznej strukturze parlamentarnej i kilkuwiekowej tradycji konstytucyjnej, jak Anglja.

Obydwa więc wspomniane uprawnienia pozostaną, jak przypuszczać należy, martwą literą i w naszej konstytucji. Czy przynajmniej samo ich istnienie będzie wywierało—jak to twierdzą niektórzy—pewną presję moralną na Sejm, zmuszając go do liczenia się z możliwością ich zastosowania? Wątpić należy, bowiem martwy przepis dla nikogo nie jest groźny.

Projekt p. Bartla przekazuje ponadto rządowi w rozległych granicach funkcje ustawodawcze. Doświadczenie z rządem p. Władysława Grabskiego wykazało, jak niebezpieczne jest w ustroju parlamentarnym przelanie tych funkcyj na egzekutywę, która nie mając nad sobą organu kontroli ani należytego oparcia w opinji, tworzy normy prawne wbrew wymaganiom życia.

Apetyty mas, rozbudzone zamachem majowym, poczynają rozsadzać wyszczerbione już mury Konstytucji marcowej. Rząd p. Bartla załatać chce szczerby wprowadzeniem do niej wątpliwej wartości przepisów, każąc wierzyć w ich zbawczy wynik. Trudno się powstrzymać od sceptycyzmu.

WINCENTY JASIEŃCZYK

STRAJK

WYDAJEMY ten zeszyt „MYŚLI NARODOWEJ" z kilkodniowem opóźnieniem z powodu strajku zecerów. Ale nie tylko dla wytłumaczenia się przed czytelnikami poruszamy tą sprawę; pragnęlibyśmy, aby ten fakt należycie był zrozumiany w opinji, która tak łatwo przyzwyczaja się do absurdów i dramatów nieporadności społecznej.

W Warszawie drukarstwo przebywa kryzys. Trzecia część pracowników z powodu braku zajęcia pozostaje na bruku w nędzy. W Polsce jest wiele drukarń poza Warszawą, pracujących taniej. One odebrały robotę drukarzom warszawskim. Wydawnictwa z powodu kryzysu książki nie dają teraz roboty żadnej. Pomimo jednak tego rozpaczliwego położenia, socjaliści czy komuniści potrafili zorganizować w Warszawie strajk, domagający się podniesienia płacy o 25 proc. Dzienniki nie próbowały nawet się opierać. Jest ich wiele, konkurencja zmusza po-

nosić wszelkie koszty i nie jest łatwa ze względu na istnienie dzienników, hojnie zasilanych przez rozmaite fundusze propagandy politycznej. Sam skarb państwa sypie pieniądze prasie przewrotowej. Teraz właśnie założono „Głos Prawdy“.

Drukarnie niedziennikarskie stanęły. Jakbyśmy żyli bez organizacji społecznej. Przyszłe pokolenia podziwiać będą te nasze barbarzyńskie czasy stałego bezprawia i rozboju. Nawet niema ciała, któreby się tem zainteresowało. Ministerjum pracy jest instytucją demokracji socjalnej, delektującej się anarchją. Kiedyż przyjdzie do Polski inicjatywa urządzenia trybunału, któryby natychmiast takie sprawy rozstrzygał i nie pozwalał społeczeństwu dziczeć w bezmyślnej walce i rujnować warsztaty?

W tej chwili otrzymujemy spóźnione zeszyty „Tygodnika Ilustrowanego“ i „Świata“; niestety wydrukowane są w... Wiedniu. Nadomiar tylko tytuły różnią jedno pismo od drugiego. Straciły indywidualność. „Myśl Narodowa“ ze względów zasadniczych nie może emigrować z kraju, musi dźwignąć podniesione koszta. Ale z najwyższem rozgoryczeniem stwierdza nieuczciwość socjalistów, którzy dla dokuczenia rządowi strajkami, tak niemiłosiernie wyzyskują swoje wpływy w warsztatach pracy z krzywdą dla tych warsztatów i pracowników. Wskutek bowiem ich zabawy politycznej liczba bezrobotnych znowu się zwiększy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Marazm — Nieudana reforma konstytucji.—*Exposé* p. Bartla — P. Grünbaum zadowolony. — Zw. Lud. Nar. przeciw pełnomocnictwom — Kryzys we Francji.

JĘKI gór rodzących śmieszne myszy — oto treść długiej dyskusji sejmowej nad sprawą naprawy Konstytucji, treść zapowiadanych uroczyście oświadczeń ministerjalnych, treść wielkiego, programowego *exposé*, z jakiem w dwa miesiące po zwycięskim zamachu stanu wystąpił wobec społeczeństwa i Sejmu szef rządu „przewrotu majowego“ premjer Bartel. Jedną z najosobliwszych, najbardziej charakterystycznych cech rewolucji, jaka się przed dwoma miesiącami dokonała, jest jej skutek bezpośredni: powszechny marazm. Takie już najwidoczniej było bogactwo treści ideowej przewrotu, taka była potęga duchowa jego przywódców, że właśnie ten skutek okazał się najbardziej naturalny, konieczny.

Początkowo wydawało się optymistom, że przewrót majowy ułatwi do pewnego stopnia naprawę obecnego ustroju, pozwoli usunąć przynajmniej najbardziej rażące jego wady. W tem przekonaniu, obok ułamkowego projekciku rządowego, kilka stronnictw złożyło do laski marszałkowskiej własne, głębiej znacznie przemyślane projekty, proponujące szereg zmian istotnie pożytecznyeh i ważnych. Ale już przebieg dyskusji i głosowań w komisji konstytucyjnej nakazywał wyrzec się nadziei na przeprowadzenie jakiejś rzeczywiście donioślejszej reformy. Generalny referent sprawy, pos. Chaciński, zgóry już usunął z pod dyskusji kilka ważnych zagadnień, przedewszystkiem kwestję zwiększenia znaczenia Senatu i zmiany jego składu. Na komisji w dalszym ciągu udaremniono kilka poważnych reform, jak np. projekt utworzenia Trybunału konstytucyjnego i Rady Stanu. Wkońcu zaś, głosowanie na *plenum* Sejmu, rozpoczęte dn. 19 b. m., dało w wyniku odrzucenie (z powodu braku kwalifikowanej większości dwuch trzecich) szeregu dalszych, wielkie znaczenie mających projektów, między innemi projektu zniesienia proporcjonalności wyborów, podniesienia wieku wyborców do Sejmu do lat 24, ograniczenia nietykalności poselskiej. Nie ulega tedy żadnej wątpliwości, że z tak sznmie reklamowanej naprawy Konstytucji pozostaną tylko żałosne strzępy. No i „pełnomocnictwa“, jedyna, jak się zdaje „reforma“, na której obecnemu rządowi naprawdę zależy.

Wyczekiwane oddawna *exposé* programowe p. Bartla było rekordem pustej, pozbawionej treści frazeologji. Rząd „nie dopuści, aby urzędnicy inaczej traktowali ludzi posiadających, a inaczej ludzi pracy“ — oto próbka najbardziej rzeczowych sformułowań programu obecnego gabinetu. Szczególną uwagę zwraca niezwykle przychylne stanowisko rządu p. Bartla wobec Żydów: „Antysemityzm gospodarczy“ — mówił premjer z trybuny sejmowej— „jest szkodliwy dla państwa“. Ciekawa rzecz, w jaki sposób mógłby p. Bartel umotywować to zaiste rewelacyjne twierdzenie, że jest „szkodliwy“?

W każdym razie — i ten fakt trzeba na wieczną rzeczy pamiątkę zaznaczyć — rząd „przewrotu majowego“ jest pierwszym rządem w Polsce, który spotkał się z przychylną oceną ze strony pos. Grünbauma. „Będziemy głosować — mówił pos. Grünbaum — „za pełnomocnictwami dla rządu p. Bartla, wierzymy bowiem, że sprawę żydowską traktuje on poważnie“.

Ale nietylko Żydzi mają zaufanie do „rządu przewrotu“. Ma je także komunizujący „Związek Chłopski“ p. p. Dąbskiego i Bryla, który również oświadczył się za pełnomocnictwami, mają je i niektóre inne stronnictwa, co już poprzednio wysyłały swoich przedstawicieli na „herbatki“, aby tam wysłuchiwali interesujących przemówień min. Piłsudskiego o „bacie“.

W imieniu Związku Ludowo Narodowego oświadczył prezes pos. Głąbiński, że klub jego za pełnomocnictwami dla rządu p. Bartla głosować nie będzie.

*

W polityce zagranicznej na czoło zagadnień wysuwa się kryzys francuski. Rząd p.p. Brianda i Caillaux upadł, obalony głosami socjalistów, komunistów i prawicy narodowej, na jego miejsce raz jeszcze powołano rząd „kartelu lewicy“ z p. Herriot, jako premjerem. W chwili, gdy po zwycięstwie wyborczem „kartelu“ dn. 11 maja 1924 r. p. Herriot po raz pierwszy stawał na czele rządu, za funt sterling płacono w Paryżu 67 franków. Dzisiaj płaci się 235 franków. Co będzie dalej?

IGN.

NAUKA I LITERATURA

INFLACJA POLSKA

TAK zatytułował swoje nowe dzieło znany uczony, profesor uniwersytetu poznańskiego, dr. Edward Taylor*). Książka ta powstała w związku z długoletniemi badaniami, prowadzonemi w seminarjum uniwersyteckiem. Zawiera imponująco obfity i dokładny materjał liczbowy, dotyczący wszystkich dziedzin życia ekonomicznego, na które wpływała inflacja. Jej przebieg referuje autor w faktach finansowych i gospodarczych jako też we fluktuacji poglądów środowiska politycznego, które ów przebieg kształtowało formalnie. Zdaje pokrótce sprawę z poglądów teoretycznych nauki zachodniej na poszczególne zagadnienia inflacyjne, przynajmniej o tyle, o ile to potrzebne jest dla własnych wywodów autora. Wykład zarówno jak i materjał liczbowy (lub graficzno-statystyczny) usystematyzowany został poczęści chronologicznie, poczęści

*) Edward Taylor. Inflacja polska. Poznań 1926. Nakładem Pozn. Tow. przyj. nauk. Str. XII i 427.

rzeczowo. Rozdział pierwszy traktuje o ilościowym przebiegu emisji pieniądza w Polsce, drugi i trzeci — o ruchu cen, następne — o ruchu kursów walut, wpływie inflacji na zastępcze środki płatnicze, szybkości obiegu, redukcji jego złotej wartości, społeczno-gospodarczych skutkach inflacji, rozwoju polityki finansowej w Sejmie i t. d. Krótko mówiąc praca gruntowna, wyczerpująca temat.

Cel założył sobie autor podwójny: 1) dać dokładny naukowy opis i analizę teoretyczną zjawisk inflacyjnych; 2) udowodnić raz jeszcze współobywatelom, zwłaszcza wątpiącym, że inflancja stanowi klęskę.

Zadaniu pierwszemu poświęcono większą część energji intelektualnej włożonej w tę pracę. Na krytykę poglądów autora porywać się w krótkim sprawozdawczym artykule oczywiście nie zamierzam. Zaznaczę więc tylko, iż pozostają one w ścisłej łączności ze współczesną wiedzą zachodnią. Ponieważ tam zdania są rozbieżne, problemat zaś ujęcia przewrotów finansowych powojennych w ramy ilościowej teorji pieniądza dotąd słabo się posunął ku rozwiązaniu, przeto prof. Taylor niektóre z czynionych w tym kierunku obcych prób przenosi na nasz grunt, stara się zmodyfikować, rozwinąć i udoskonalić. Interesuje się zwłaszcza trudną do wytłumaczenia ze stanowiska ilościowej teorji pieniądza nieproporcjonalnością szybszego wzrostu cen i kursów w stosunku do powolniejszego wzrostu ilości pieniądza. Wytłumaczenie znajduje we wpływie szybkości obiegu, któremu przypisuje wśród zjawisk inflacyjnych przodującą rolę.

Drugi cel, który sobie autor w tej pracy założył, udowodnienia, że — i w jakiej mianowicie mierze — inflacja stanowi klęskę, wypełnia głównie rozdziały końcowe. Czytelnika nie specjalistę zainteresują one zapewne żywiej od wywodów analityczno-teoretycznych, nieraz cokolwiek „trudno strawnych“. Prawda, że broniąc tak postawionej tezy autor poniekąd wyważa otwarte drzwi. Zwolenników inflacji w Polsce dziś już niema; przynajmniej takiej, jaką Polska przeszła, t. j. inflacji skarbowej, oraz takiej, jak ją wogóle autor definjuje: t. j. n a d m i a r u pieniądza lub n a d m i a r u kredytów w stosunku do potrzeb gospodarstwa narodowego. Kwestja j a k o ś c i pieniądza (mniej lub więcej kruszcowego czy też papierowego) która w dziejach polskich wyobrażeń o inflancji i sanacji oraz w samym ich przebiegu tak wybitną odegrała rolę, traktowana jest przez zwolenników teorji ilościowej jako podrzędna.

Na palące w chwili obecnej pytanie, czy i w jakich warunkach kredyty gospodarcze mogą lub nie mogą powodować inflację, (a więc spadek wartości waluty), prof. Taylor bezpośrednio odpowiedzi nie daje. Jego praca, poświęcona przedewszystkiem studjom nad „inflacją polską“, zmierza do pogłębienia tej ostatniej takiej, jaką była; była zaś w przygniatającej przewadze skarbową. To też rolę, jaką kredyty gospodarcze doby p. Michalskiego i późniejszej odegrały w rozwoju polskiej inflacji, autor traktuje epizodycznie na kilkunastu stronicach zgubionych pośród czterystu. Zgodnie ze swą zasadniczą tendencją przeciwinflacyjną prof. Taylor upatruje w kredytach gospodarczych pomienionego okresu dodatkowy czynnik ujemny, wzmagający tempo inflacji. Tak być musiało, albowiem kredytów udzielano na zbyt długie terminy, zbyt hojną ręką, bez dostatecznej kontroli i gwarancji ich obrotowego charakteru, przy zbyt stosunkowo nizkiem oprocentowaniu. Kontrola zaś, zarówno jak i środki zapobiegawcze polityki kredytowej, były niezmiernie utrudnione z powodu równoczesnej inflacji skarbowej, głównego motoru deprecjacji pieniądza. Dlatego prof. Tdylor sądzi, iż lepiej było kredytów wogóle nie uruchomiać przed zrównoważeniem budżetu stabilizacją waluty.

Zasadniczo natomiast prof. Taylor nie podziela poglądu, jakoby kredyty gospodarcze krótkoterminowe s a m e p r z e z s i ę wywołać mogły inflację li tylko z tej przyczyny, że udzielane są w walucie „papierowej“ nie zaś kruszcowej lub kruszcem wysoko pokrytej. Ilościowa teorja pieniądza nie przypisuje wagi decydującej jego jakości. Spadek wartości pieniądza przy inflacji skarbowej następuje dlatego, że zwiększa się ilościowo obieg, nie przybywa zaś proporcjonalnie towaru; przeciwnie ubywa go, bo skarb konsumuje towar, ale go nie reprodukuje; chyba w niewielkim zakresie i w długim terminie. Stąd wynika, że również emisja na cele kredytu gospodarczego długoterminowego grozi inflacją, bowiem zwiększona ilość pieniądza nie powiększa w tym wypadku dość szybko ilości towaru. *A contrario* stwierdza autor, że emisja kredytowo-obrotowa lub kredytowo-produkcyjna, taka zatem, która wpuszcza w obrót nowy pieniądz dla uruchomienia dóbr już wytworzonych, albo też taka, która go udziela ne cel konsumcji przemysłowej szybko kompensowanej w odtworzonym towarze — nie może wywołać objawów nadmiaru tegoż pieniądza, a więc wzrostu cen, inflacji. Przeciwnie o ile taki kredyt uzupełnia lukę w kapitale obrotowym, hamującą produkcję, to może nawet dać przyrost tejże produkcji ilościowo wyższy, niżby wykazywała proporcja z udzielonym kredytem. A w takim razie dopływ racjonalnie skierowanego pieniądza, mimo rozszerzenia obiegu, może wywołać zniżkę cen.

Dodajmy od siebie, że owa zniżka tem snadniej by mogła nastąpić, iż przy obfitym kapitale obrotowym nastąpiłby spadek stopy procentowej a więc i kosztów produkcji, i zaznaczmy (co nie dość może wyraźnie wynika z wywodu prof Taylora) że w mechanizmie potęgowania inflacji przez kredyty gospodarcze przedewszystkiem działa deprecjacja pieniądza skutkiem emisyj skarbowych; dzięki nim właśnie skarb traci na zwrocie niewaloryzowanych kredytów gospodarczych i tem intensywniej musi znów drukować banknoty.

Ostateczny wniosek autora w tej dziedzinie brzmi, iż kredyty gospodarcze mogły inflację pogłębić jedynie pośrednio przez wpływ, jaki na nie wywierał równoczesny druk banknotów na cele konsumcyjno-skarbowe.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tym epizodem książki prof. Taylora dlatego, iż żywiej, niż jakikolwiek inny, wiąże się on z rzeczywistością chwili obecnej. Dziś mamy za sobą zarówno okres, którego książka dotyczy jak i dwulecie t. zw. sanacji walutowej, która zastąpiła inflację reakcją deflacyjną. Początkowo względnie łagodna, reakcja ta zaostrzyła się dziś do stopnia „hyperdeflacji bezwzględnej“ i szybkim krokiem zmierzać się zdaje ku „katastrofie hyperdeflacyjnej“, że użyję tu w odwróconym sensie terminów prof. Taylora. Ambicja 70%-owego pokrycia złotem złotego na koszt kredytów gospodarczych, oraz liberalizm celny, doprowadziły produkcję do stanu, w którym nie mogła rozwinąć świadczeń fiskalnych, odpowiadających potrzebom państwa. Skończyło się na ordynarnej inflacji skarbowo-konsumcyjnej, na szczęście dotąd niewielkiej, na 10%-wem pokryciu złotem złotego i na spadku jego wartości do 50%.

Protekcjonizm celny odrobił wprawdzie utracone waluty Banku Polskiego w czynnym bilansie zagranicznym, lecz nie wróciły one dotąd tam, skąd wyszły; podkładu dla emisyj gospodarczych stanowić nie mogą.

Jakkolwiek w myśl ilościowej teorji pieniądza nie jest ten powrót i ten podkład dla owych emisyj nieodzowny, to jednak jedno z najpilniejszych zadań państwowych polega niewątpliwie na ściągnięciu walut z powrotem do skarbca Banku Polskiego. Dopiero gdyby wszelka w tym względzie — co chyba jest wyłączone — nadzieja zaniknąć miała, wówczas nie od rzeczy byłoby zapamietać że „inflacja“ oznacza n a d m i a r jakiegokolwiek, kruszcowego czy papierowego, pieniądza w stosunku do potrzeb obrotu gospodarczego. U nas zaś życie gospodarcze dalekie jest zaprawdę od przesytu gotówką.

Aczkolwiek „inflacja polska“, przynajmniej ta wielka i katastrofalna, którą opracował naukowo prof. Taylor, należy do przeszłości, to jednak teraźniejszość tak silnie pozostaje z nią związana, iż bez materjału informacyjnego zawartego w tem gruntownem dziele, nie obejdzie się łatwo nikt, kogo finanse Państwa Polskiego bliżej interesują.

ST. SZCZUTOWSKI

PRZEZIERADEŁKA IŁŁAKOWICZÓWNY

WNET po „Połowie“ (ob. sprawozdanie w nr. 12 z r. ub. „Myśli Narodowej“) mamy nowy tomik poezyj I. K. Iłłakowicz (Kazimiery Iłłakowiczówny): „Obrazy imion wróżebne“ (Warsz. 1926. F. Hoesick). Pomysł dzieła w stylu sennika egipskiego wygląda na żart, i pewno nie jeden się dziwi, że poetce tej miary chciało się robić taki nakład pracy artystycznej. A jednak po przeczytaniu całości trzeba przyznać, że jest to prawowita poezja.

Mamy w tym zbiorku 50 próbek, jak sobie poetka wyobraża ludzi, którym na imię chrzestne: Jan, Marta czy Stanisław. Imiona te w nagłówku zdają się pełnić rolę tylko gwoździków, punktów zaczepienia, na których swoje minjatury rozwiesiła poetka. Bo jakiż związek wewnętrzny może mieć przypadkowa nazwa z wyobrażeniem rzeczy, których miljony odmian? Autorka przeto wpada w podejrzenie, że bawi się w wróżbiarstwo, jak cyganka, że dowolnie rozmieściła imiona na kartkach, które wyjmuje na chybił-trafił, jak ptak z katarynki na jarmarku. Zapewne, jest w tem spora doza zabawy towarzyskiej; to pewna także, że gdyby Iłłakowiczówna bawiła się w ten sposób w czasach średniowiecza, toby ją spławiono na próbę, czy niesamowita. Wogóle ten typ kobiety wtedy nie uchowałby się. Ale dziś możemy sądzić o niej inaczej.

Owe wizerunki ludzi nie są przez nią — choć sama tak mówi — wyławiane „z powietrza“. Nie jest nawet nominalistką średniowieczną, dla której nazwy miałyby swój byt mistyczny; tem mniej nie jest zabobonną wróżbiarką. Jest poetką i to dobrą, to znaczy, że wszystko, co wyraża, ma w jej duszy jakieś podstawy i nie zaczyna się w przypadkowej formie słownej; wszystko jest wyrazem czegoś z życia.

Wyobraźnia poetki robi czasem wrażenie szyby, na której mróz wypisuje jakieś dziwy. Wszakże są pewne prawa fizyczne w tej płaskorzeźbie; sztuka jej wygląda nieraz czarodziejsko, jak owe kulki japońskie, które na wodzie rozwijają się w mig w kwiaty-niespodzianki. Iłłakowiczówna jest zawsze niespodziewana, ale nie przypadkowa. Te napozór z powietrza wyławiane sytuacje myślowe pochodzą wszystkie z przeżyć psychicznych. Jest wrażliwa i precezyjnie spostrzega, ma więc w duszy pełno doznań, a te w niej krążą jak płatki śniegu, kojarząc się w desenie, którym poetka pomaga nieraz figlarnie, ale zawsze pewną ręką artystyczną.

Powodem skojarzeń może być dźwięk imienia, który poetce skupia odrazu wszystko, co wie z literatury i legendy o patronie czy bohaterze, z tem, co kiedykolwiek zapamiętała z ludzi tego imienia. W ten sposób wytwarza postać sobie znaną najlepiej, jakąś twarz znaną, która jej utkwiła w wyobraźni, a więc realną. Literacka stylizacja dodaje kwiatowi barwy, ale ten kwiat ma woń i świeżość życia, nie jest z bibułki. Czytelnik rozpoznaje w portretach i siebie i sobie znanych, ulega urokowi prawdy, która w ręku artysty staje się jasnowidzeniem.

Iłłakowiczówny talent poetycki wyraził się w tym pomyśle w sposób charakterystyczny. Jest to popis doskonałej znajomości ludzi, a jednocześnie popis wirtuozostwa artystycznego. Swoim materjałem ludzkim operuje z chłodną świadomością artystyczną. Wszystkie swoje rzeczy tworzy bez bólów, co u kobiet artystek jest tak niezwykłe, w danym wypadku tworzy na wesoło, jakby stroiła lalki. A w nizkiej temperaturze chłodnego objektywizowania, wyzwala się górujący nad przedmiotem dowcip literacki.

W słowniku ludowym istnieje dobra nazwa lusterka „przezieradełko“. Obrazki Iłłakowiczówny to są właśnie takie przezieradełka. Przezierają przez nie prawdziwie uchwycone twarze, a w nich odnajdują się, jak w lusterku, czytelnicy.

Z. W.

PAMIĘTNIK LITERACKI

„Pamiętnik Literacki“ tegoroczny (1925/6) poświęcony jest prezesowi Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza, prof. W. Bruchnalskiemu, w 40-lecie pracy naukowej. Na treść obecnego rocznika złożyły się dotychczas same rozprawy, druga zaś część wydawnictwa, zawierająca notatki, materjały i recenzje, ukaże się w październiku b. r. — bądź co bądź jest to dowód, że materjału naukowego jest sporo i da Bóg, niebawem „Pamiętnik“ wróci do dawnych, przedwojennych rozmiarów. Stosunkowo pokaźna jest ilość rozpraw, omawiających problematy ogólne. Na ich czoło wysuwa się studjum znanego powieściopisarza, Stefana Grabińskiego „Zagadnienie oryginalności w twórczości literackiej“; autor rozróżnia 3 rodzaje oryginalności: 1) oryginalność absolutną 2) swoiste i odrębne ujmowanie zjawisk życiowych 3) odmienne opracowywanie tematów już znanych (z dziejów, z mitologji, Biblji, literatury); kończy się rozprawka słusznym apelem: „starajmy się o naszą polską, rodzimą, oryginalną sztukę, a od artystów naszych żądajmy więcej treści“. Juljusz Kleiner w rozprawce „Rola czasu w rodzajach literackich“ dzieli poezje na cztery kategorje: 1) nie uznającą czasu (opisowa) 2) czasu określonego (dramat, epika, liryka) 3) wszechczasowa (dydaktyczna) 4) pozaczasową (baśń — może lepiej było ją nazwać klechdą?); następnie zajmując się słynną arystotelesowską teorją jedności czasu w dziele sztuki, wskazuje, że hasło to wskrzesili znów dzisiejsi poeci, jak Ibsen, Maeterlinck, Wyspiański: — dodałbym do nich zawziętszego jeszcze szermierza 3-ch jedności, szwajcarskiego poetę Spittelera. Zygmunt Łempicki, opierając się przeważnie na najnowszych badaniach krytyków niemieckich definjuje i odróżnia 3 zbliżone do siebie pojęcia: osnowy, wątku, i motywu. Zdzisław Żygulski, powracając do tematu, jaki na łamach Pamiętnika podjął w r. z. H. Życzyński, poddaje ponownej krytyce niemiecką rozprawkę Meyera o „prawidłowym“ dramacie francuskim i „nieprawidłowym“ dramacie germańskim. (Kwestja niejednokrotnie poruszana, bodaj jeszcze od czasów Lessinga).

Z rozpraw, poświęconych poszczególnym działom literatury polskiej, spotykamy najpierw filologiczne badanie źródłowe nad podaniem o Wandzie; autor, K. F. Kumaniecki, wskazuje wiele motywów literatury starożytnej, zbliżonych do Kadłubkowej legendy (np. podanie o smoku Safony), następnie zaś, streszczając jeden rozdział z dziełka prof. Windakiewicza „Dzieje Wawelu“, podaje tytuły utworów naszej literatury, poświęconych Wandzie — czemu jednak pominiął „Gody Życia“ Dygasińskiego? Dziejami dwuch głośnych utworów średniowiecznych: „Rozmowy mistrza ze śmiercią“ i „Rozmów Marchołta“ zajmują się dwaj świetni badacze St. Vrtel-Wierczyński i Julj. Krzyżanowski, dodając mnóstwo nowych szczegółów do badań swych poprzedników. St. Łempicki zajmuje się stosunkiem rodziny drukarzy i filologów weneckich, Manucjuszów (Manuzi), do drukarzy polskich (Jan Haller) i innych wybitnych Polaków z epoki odrodzenia (Nidecki, Zebrzydowski, Myszkowski, Zamoyski, Gostyński, Górski): Komedję Wojc. Bogusławskiego p. t. „Spazmy modne“. omawia E. Kucharski, zestawiając ją z komedją „*Le convulsioni*“ Albergatiego, a jednocześnie uwydatniając wprowadzenie nowych, oryginalnych pomysłów („styl kontuszowy“). Szczegółowemu rozbiorowi poddaje „Pamiątkę po dobrej matce“ Hoffmanowej Ida Kotowa, zwracając uwagę głównie na problemy pedagogiczne: poddając krytyce poglądy Chmielowskiego, autorka wykazuje, że Hoffmanowa nie myślała o emancypacji kobiet, jednocześnie zaś odkrywa nieznany Chmielowskiemu pierwowzór „Pamiątki“ — jest nią rozprawa niemieckiego pedagoga, Glatza. Stanisław Pilch w rozprawie „Tacyt w twórczości trzech wieszczów“ rozwija temat, opracowywany już przez siebie w „Eosie“ oraz w szkolnem wydaniu Tacyta. Sporo miejsca poświęcono Słowackiemu: Życzyński bada genezę „Godziny myśli“ i jej ideę, uzupełniając poglądy I. Chrzanowskiego; sam zaś Chrzanowski w artykuliku „Idea Balladyny“ stara się uchwycić pierwotne założenia tej tragedji (bo jak wiadomo, Słowacki opracowywał ją dwukrotnie) i na tej podstawie rozwikłać jej symbolikę; nakoniec M. Hartleb, pisząc o „Filozofji i dzbanie Piasta Dantyszka“, udowadnia, że miał rację Słowacki, wywodząc swój poemat z ideologi Kochanowskiego. Mickie-

wiczowi, jako historykowi i krytykowi literatury czeskiej, gruntowne studjum poświęca b. lektor uniwesytetu w Pradze, Konrad Górski, po raz pierwszy w Polsce podejmując temat, którym już dawno w Czechach zajmował tak tęgich literatów i uczonych, jak Fr. Kvapil i J. Machal. Tom zamyka rozprawa prof. T. Grabowskiego o „Stanowisku Tyszyńskiego w dziejach krytyki literackiej w Polsce"; jest to kontynuacja wielu prac Grabowskiego, poświęconych dziejom naszej krytyki (jak „Krytyka literacka w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu" i i.) — i jak tamte, celuje bogactwem szczegółów i gruntownością; określając stanowisko Tyszyńskiego, jako najwybitniejszego krytyka i historyka literatury w połowie w. XIX, Grabowski wykazuje, że autor „Amerykanki" wniósł mnóstwo nowych pierwiastków przez swą wszechstronność zainteresowań, oczytanie i znawstwo prądów zachodnich. Słuszna uwaga w zakończeniu, że Tyszyński był mistrzem Chmielowskiego.

Całość zeszytu przedstawia się doskonale i każe się nam spodziewać, że i część druga rocznika, zapowiedziana na październik, wypadnie tak samo.

J. B.

U SŁOWIAN

Ettore Lo Gatto, docent literatury rosyjskiej w Rzymie, założył „*Rivista di letterature slave*". Pierwszy podwójny zeszyt tego kwartalnika wyszedł właśnie z końcem czerwca jako pokaźny tom o 280 str. (Cena 20 lir. Adres Redakcji: Prof. Ettore Lo Gatto, Roma. Via Messina 25).

W tomie piewszym uwzględniono niemal wszystkie literatury słowiańskie. Po przedmowie redaktora następuje rozprawa o bułgarskim poecie-bohaterze Christo Botewie oraz przekłady jego utworów, następuje dział czeski ze studjum redaktora o Zeyerze i Włochach, przekłady z Zeyera, praca Giustiego „Vrchlicky i Carducci" i przekłady z Vrchlickiego, potem Giustiego „Echa włoskie u J. Nerudy" i o Rusi Zakarpackiej.

Góruje nad innemi dział polski (108 str. na 280), a w nim wyłącznie prawie J. Kasprowicz dzięki studjom i przekładom poświęconym mu z okazji zbliżających się uroczystości ku czci poety. Więc po wcale udatnej podobiźnie poety, znajdujemy syntetyczny szkic Z. Wasilewskiego, napisany specjalnie dla tej „*Rivisty*" potem obszerną rozprawę prof. Lo Gatta o „Hymnach" i ich genezie, E. Damianego, krótki wstęp o hymnie „ więty Boże" i tegoż piękny poetycki przekład tego hymnu oraz Lo Gatta przekład „Hymnu św. Franciszka z Assyżu". Wybór z różnych utworów wcale obfity dała p. Garosci, a przekład jednego z utworów p. J. Gromska („Nad włoskiemi jeziorami"). W końcu — odczyt prof. R. Pollaka „Wielkość w kultusze polskiej", wygłoszony w marcu tego roku w uniw. turyńskim oraz medjolańskiem „*Circolo filologico*". W dziale serbskim praca o poezji Milutina Bojića. Rosyjskiej literaturze poświęcono jedną drobną rozprawkę p. Cerlo o Puszkinie i włoszczyźnie. W dziale „Notat i materjałów" wyłącznie „*polonica*" (wspomnienia osobiste o Kasprowiczu p. M. A. Kulczyckiej, nekrolog W. Mickiewicza pióra A. Palmieriego, odpowiedź E. Damianiego na znane zarzuty R. Küfferlego stawiane A. Mickiewiczowi). Kończy całość dział recenzyj.

*

Naród bułgarski święci obecnie 50-ą rocznicę powstania przeciw Turkom w r. 1876 (t. zw. *aprilskoto wazstanije*). Ku uczczeniu tej rocznicy wydano ostatno w Sofji szereg publikacyj pamiątkowych, jak: N. Stanewa „*Narodniwstanija prez 1876*" i „*Nasi opłczenci*" (nasi ochotnicy), D. Teodorowa, „*Wasil Lewski*" (jeden z wodzów powstania) M. Teofiłowa „*Christo Botew*" (znakomity ten poeta brał czynny udział w walkach), N. D. Kableszkowa „*Aprił koło wstanie*" (powstanie kwietniowe).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dom wydawniczy „*Alpes*" Medjolanu wypuszcza w świat tomik: „*Il Paese di Madreperla*" („Z kraju pereł") pióra utalentowanego młodego pisarza, Giuseppe Zucca. Zucca jest oficerem wojsk włoskich i był wysłany jako członek misji Zoli, wydelegowanej specyalnie dla zapoznania śię z Somalą Włoską. Niepospolicie uzdolniony pisarz kilku rysami zdołał scharakteryzować i kraj i mieszkańców tych stron tak odległych: Zucca jest humorystą efektownym, pełnym werwy, zaprawionej sarkazmem. Umysł spostrzegawczy podpatruje charakterystyczne rysy otoczenia i oddaje je z niezwykłą brawurą.

*

Maurice Dekobra należy dziś do najbardziej poczytnych pisarzy we Francji. Książki jego nie mają nic wspólnego z filozofją i nie są przeciążane głęboką analizą uczuć. Autor nie jest napewno pesymistą: lubi życie i interesują go wszelkie jego przejawy. Do pełnych werwy utworów należy także jego ostatnia powieść „*La Gondole aux Chimères*", poprzez którą przesnwają się obrazy Wenecji, Rzymu, Neapolu oraz sylwetki kosmopolitów, żonglujących egzotyzmem, polityką, miłością.

TEATR

LOŻA CZY PARTER? — INŻYNIEROWIE JADĄ — CZY TO PUHAR?

OKRES letni w teatrach, zwykle najtrudniejszy do przebycia, w tym roku jest dla nich lepszy w Warszawie wskutek zamknięcia kinoteatrów. Niewiadomo, jak na tem wyjdzie kasa miejska, która z podatku kinowego miała dochód pewniejszy, niż z teatrów. W każdym razie zrobiono wszystko, aby mianowany prezesem teatrów miejskich b. premjer Artur Śliwiński, mógł o sobie powiedzieć, że jest teatrów Salwatorem.

Przeżywamy okres renesansu na wszystkich polach. Wraz z „odrodzeniem moralnem" w całej Polsce za sprawą przewrotu majowego nastąpiło odrodzenie sztuki. I to tem dziwniejsze, że przewrót był radykalno-demokratyczny, a odrodzenie wygląda trochę po burżujsku, zaczęło się bowiem od zniesienia kinoteatrów, tak miłych ulicy, i skasowaniu „robotniczego" teatru im. Bogusławskiego. Loże wzięły górę i tutaj nad demokratycznym parterem. Tędy dostał się do teatrów miejskich z b. premjerem Śliwińskim, prezes Klubu P. E. N., p. Jan Lorentowicz. Mianowano go dyrektorem teatru Narodowego i kierownikiem literackim. P. Stan. Miłaszewski, podejrzewany o sprzyjanie sztuce narodowej, ustąpił.

Jednem słowem zarząd miasta, przez lojalność dla ducha czasu, przybrał barwy zarządu państwa i poddał się bez wystrzału przewrotowi. A zwycięzcy, jakby czyniąc jakąś aluzję, na pierwszym swoim afiszu wypisali tytuł: „Safanduły".

Komedja Wiktoryna Sardou, wystawiona w teatrze Narodowym, przeniosła nas z czasów namiętnej propagandy rewolucyjnej trzeciej międzynarodówki do tych czasów przed pół wiekiem, kiedy łagodnie perswadowało się szlachcie, że świat nic nie straci na ideałach mieszczańskiego liberalizmu. „Odrodzenie" obecne w Polsce, tak jak ono w danej chwili się przedstawia, podziela wspólną z owemi czasy wiarę we wszechpotęgę inżynierów i kolei żelaznych. Pamiętam w młodości, kiedy budowano kolej z Dąbrowy do Dęblina, niejaki Borowski napisał sensacyjną krotochwilę „Inżynierowie jadą"! Sardou osiągnął w swojej komedji wielki efekt w scenie, kiedy inżynier Cavalier mając za sobą całą przewagę ducha czasu, zapowiada margrabiemu de la Rochepéans, że nowa kolej przetnie jego pałac. Bolesław Prus żartobliwie ocenił ten przewrót na rzecz postępu: Wyobraź sobie pan dobrodziej pałac: przecina go pociąg pośpieszny przez sypialnię i łóżko hrabiny. Oto gdzie się dostał inżynier!

Gdzie się podziały te straszne sceny rozrachunku z inżynierami, studjowane w teatrze miejskim im. Bogusławskiego w sztukach Micińskiego, Żeromskiego? Czy to sen czy jawa? Znowu inżynierowie jadą! Czy daleko zajadą?

Skądże ta sielanka pracy organicznej w czasach, gdy już nie pałace margrabiów się przecina, ale Belwedery — i to przy pomocy żywiołów rewolucyjnych?

Refleksje tego rodzaju nie przeszkadzały wszakże podziwiać gry artystów. Safandułów grali starsi aktorzy, świadomi tradycyj teatralnych tej sztuki: Kotarbiński, Kamiński, Solski i Chmieliński. Z wielkiem zainteresowaniem wpatrywano się w ich grę mistrzowską. Oczywiście naturalistyczny kunszt Kamińskiego (Fromentel) musiał zaćmić bogactwem opracowania stylizację Solskiego i Chmielińskiego.

Przemyślny kierownik swoich teatrów p. Szyfman korzysta, że kina oślepły i wystawia jedną za drugą farsy. Teraz mamy w teatrze Polskim komedję Verneuila i Berra „Azais". Kąt spoglądania na świat autorów robi wrażenie kąta żydowskiego. Niewątpliwie jest to fabrykat z ubocznej dzielnicy literackiej, ale w wykonaniu pierwszorzędnych ar-

tystów wypadł interesująco. Pan Junosza Stępowski, którego niedawno widzieliśmy w „Otellu“ Szekspira, grał teraz barona Würtza, Otella sepleniącego z rozrzedzonym mózgiem. Człowieka mającego szczęście (według systemu Azais) pokazywał zawsze sympatyczny i wesoły p. M. Maszyński.

Teatr im. Bogusławskiego zaprosił sprawozdawców na premjerę nowej sztuki polskiej. Była to komedja w 3 aktach Zygm. Nowakowskiego p. t. „Puhar wędrowny“. Znaleźliśmy się w towarzystwie literata, a potem złodzieja włamywcza, prostytutki i jeszcze jakiegoś bandyty. Kazano nam się bawić pomysłem, że literat zamienia się ze złodziejem na zajęcia (żadna praca nie hańbi) i że wszyscy trzej panowie na zmianę podają sobie kochankę, jak puhar. Autor potraktował rzecz jako obraz obyczajowy, nie tyle realistycznie, ile na płasko. Ludzie (!) tam dowcipkują z cynizmem, ale słuchacz ogląda się za autorem, co on o tem myśli i nie znajduje jego oblicza. Gdy do takiego środowiska wprowadza nas Shaw, wogóle pisarz z kulturą, to wiemy, że idziemy tam dla niego i jesteśmy usprawiedliwieni ze swoją ciekawością jakimś interesem literackim. Tutaj znaleźliśmy się bez literackiego protektoratu w towarzystwie bardzo niewłaściwem, w bezpośrenniem zetknięciu z apaszami.

W teatrze im. Bogusławskiego, pomimo że grywają tam wielki repertuar, niewłaściwe traktowanie sztuki na złość życiu i stylom tak zepsuło kierownikom dobry smak, że nie spostrzeżono tej niewłaściwości, jaką jest wprowadzenie na scenę widowiska bez racji literackiej. Nie umiał tam nikt zreflektować się, że każda farsa francuska, nawet zydowska Verneuila, o której wyżej, każda sztuka rewolucyjna jak Witkiewicza — będzie bądź co bądź potrawą, mniej więcej smaczną, ale potrawą. To zaś, co dał p. Nowakowski, to są pomyje po cudzych pomysłach, o których autor słyszał, ale których po literacku nie pojął.

Na wysokości tego poziomu stała i odtwórczość, przedewszystkiem amatora tej literatury i reżysera p. Zelwerowicza, w którego grze—aż dziwnie — nie podobna wyczuć ani jednego ludzkiego akcentu. Jeszcze gorzej z p. Starską, bo tu nie robiła akcentu nawet aktorskiego. Podobno p. Nowakowski jest aktorem. Poziom twórczości dramatycznej musi być teraz nizki, skoro aktor wkracza do twórczości bez przeszkód, owszem, jak widzę, przy oklaskach krytyki.

Teatr Bogusławskiego zmanjerował się w dekoracjach, które jakoby mają integralny ze sztuką dramatyczną związek. Ponieważ w tym wypadku obyło się w sztuce bez sztuki, więc dekoracje, jak zawsze tutaj pretensjonalne, zawisły w próżni, same sobie się dziwiąc, dla czego tak niepotrzebnie są brzydkie.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

S. Jeleński. Woda żywa. Opowieść ewangeliczna. z ilustr.
S. Jeleński. Mała Miriam. Opowieść ewangeliczna.z ilustr.
Adam Grzymała-Siedlecki. Cud Wisły. Słowem wstępnem poprzedził Józef Haller. Str. 230.
Adolf Nowaczyński. Komendant Paryża. Dramat w 8 obrazach. str. 392.
Gustaw Olechowski. Polska dziś a jutro. Studjum polityczne. Str. 192.
Ks. Stan. Kozierowski. Leszczyce i ich plemiennik, Arcybiskup Gnieźnieński św. Bogumił z Dobrowa. Str. 67.
Jan Szczepański. Niebezpieczna podróż. Nowela.
Zofja Sokołowska, Zaklęty młyn. Powieść.
Władysław Orkan. Opowieść o płanetniku. Wybór nowel.
Antonina Sadowska. Wiedźma. Nowela.
Marja Reuttówna. W cygańskim obozie. Powieść.

NA MARGINESIE

B. premjer Władysław Grabski stwierdził niedawno w dwutygodniku „Drogi naprawy", że nie może być uważane za „sanację moralną" to, iż „widzimy dużo translokacyj na wysokich stanowiskach. Również nie jest moralną sanacją przeniesienie wyższych urzędników w stan nieczynny. Jest to sposób usuwania ludzi niedogodnych, ale nie sanacja, bo urzędnik przez takie przeniesienie nie jest wcale napiętnowany. Pierwszym warunkiem tego, żeby hasło sanacji moralnej nie zostało zaprzepaszczone, jest, by zostały wytoczone liczne procesy na tle niemoralnych sprawowań rządów, by te procesy doprowadziły do poważnych wyroków sądowych i by były wytaczane nie specjalnie przeciw osobom wojskowym z pola walki, ale w zakresie wszelkich dziedzin życia publicznego, wśród wszystkich srtonnictw tak, aby istotnie stało się jasnem, że podjęcie hasła sanacji moralnej miało swoje głębsze uzasadnienie".

Całkiem słusznie. Cenne uwagi b. premjera można tylko uzupełnić informacją, że od chwili zamachu **nie wykryto ani jednego nadużycia, nie wytoczono ani jednego nowego procesu**... Aby zaś obraz dzisiejszej rzeczywistości polskiej był jeszcze jaśniejszy, warto przypomnieć, że zaufanie bezwzględne do marszałka Piłsudskiego, jako sprawcy „odrodzenia moralnego“ Ojczyzny szerzą wśród ludu dwaj przedewszystkiem mężowie: p. Jan Stapiński i poseł Bryl...

*

Po przewrocie rewolucyjnym w Rosji pierwszym objawem „odrodzenia moralnego“, było to, że aresztowano prokuratorów, którzy występowali w słynnym procesie Bejlisa w Kijowie. Teraz w Polsce dzienniki żydowskie z radością notują: „Minister sprawiedliwości Makowski podpisał dekret o dymisji nadprokuratora lwowskiego, Maliny, głównego reżysera procesu Steigerowskiego“.

Przypominamy, że Steiger oskarżony był o dokonanie zamachu na Prez. Wojciechowskiego. Przy sposobności notujemy, że dotąd pozostają w więzieniu generałowie, którzy w innym zamachu stawali w obronie Prez. Wojciechowskiego. Czy min. Makowski wejrzał w tę sprawę?

*

P. Cezary Jellenta wypłynął znów na widownię, tym razem jako „Biały Paw“. Dla tego rodzaju typów jest to pora odrodzenia, ów majowy przewrót. Jest to wiosna dla różnych ptaszków. Pan Jellenta powiada, że „dwa lata“ czekał na tę chwilę (od r. 1923?). „Mocarna dłoń jednego człowieka potrząsnęła kajdanami. Odczuł on, że nie sam jeden tylko, ale i tysiące poza nim jęczą, duszone zatrutemi gazami, znieprawioną opinją, okłamaną świadomością powszechną, wprost szantażem tych, co uzurpowali gospodarkę i ster w państwie myśli“ it.d. „Czy zdajecie sobie sprawę, że trzeba ten zew oswobodzicielski pochwycić u bram polityki i przepuścić przez bramy wiodące do literatury, sztuki i wszelakiej pracy twórczego mózgu?“

Zdawałoby się, że pan Jellenta jest jedynym człowiekiem w Polsce, który w tym maju znalazł sobie program. Tymczasem byłby w kłopocie, gdyby mu kazano się wytłumaczyć, co ma do powiedzenia nowego. Ot poprostu sędziwy Druid idzie z kwiatami pochlebstwa w celach jak sam się wyraża, „żebraczo-skromnych“. Pismo swoje drukuje w drukarni Min. Spr. Wojsk.

Biały paw, nie szanujący się, nie umiejący z godnością znosić biedy literackiej, po kabotyńsku pretensjonalny. Teraz wyśmiewa tych, którzy Niemcom nie wierzyli, a którym przed laty pochlebiał, dorabiając specjalny pamiętnik z czasu okupacji niemieckiej, aby pokazać, że był eutentofilem, on jeden z nielicznych w Polsce literatów, dla których Berlin jest Mekką.

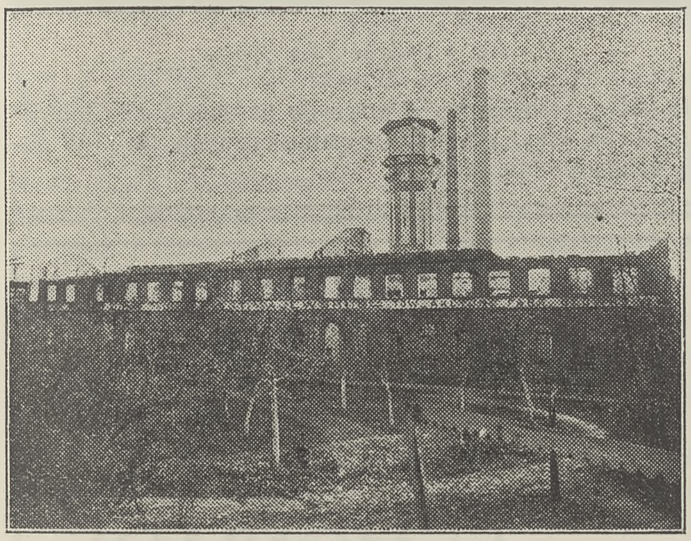
Z powodu zniewag, na jakie sobie teraz pozwala względem obozu narodowego, żeby się przypodobać „Walgierzowi Udałemu“, możemy mu tylko przypomnieć anegdotę o owym Żydzie, który z okna wagonu na odjezdnem rozmawiał uprzejmie z wrogiem swoim, dopóki pociąg nie ruszył, a kiedy pociąg ruszył, uderzył go w twarz, ufny w bezkarność. Okazało się jednak, że pociąg tylko wekslował i wrócił na stację...

Krótki rys z dziejów naszego przemysłu

Co przechodziła w czasie wojny fabryka ołówków Tow. Akc. „ST. MAJEWSKI i S-ka".

Fabryka ołówków Tow. Akc. St. Majewski i S-ka założona zostało w r. 1889, jako zwykła spółka, zaś w r. 1898 przekształciła się na spółkę akcyjną.

Kilkanaście pierwszych lat aż po r. 1907 było dla początkującej fabryki w Pruszkowie okresem ciężkiej walki o byt, gdy żmudną pracę nad udoskonaleniem wyrobu łączyć musiano z wypieraniem z rynku starych



Fot. 1.
Główny pawilon fabryki ołówków, spalony przez Niemców



Fot. 2.
Spalone wnętrze fabryki

mających za sobą stuletnią praktykę, fabryk niemieckich. Dopiero ostatnie dwa lata, poprzedzające wojnę światową, były okresem triumfu, walka bowiem z konkurencją, dzięki taniości i dobroci wyrobów polskich, przechylała się coraz bardziej na korzyść polskiego przemysłu ołówkowego, opanowującego już nietylko własne rynki, lecz i eksportującego swój produkt do Brazylji, Indji, Australji i Meksyku.

Przedwojenny atoli rozrost wkrótce został przerwany przez wojnę światową, gdy Niemcy świadomie zniszczyli ogniem armatnim tę jedyną swojego rodzaju placówkę polskiego przemysłu.

Po zniszczeniu fabryki w październiku 1914 r., jeszcze przy akompanjamencie huku armat z nad Bzury, dochodzącym wyraźnie do Pruszkowa, podjętą została odbudowa, przerwana dopiero w lipcu 1915 r. przez przymusową ewakuację do Rosji.

Reszta zniszczonych maszyn, oraz te, które zdołano odbudować, znalazły się w ten sposób aż w Zagłębiu Donieckim, w Sławiańsku, gdzie w przypadkowo nabytych pomieszczeniach fabryka została uruchomiona i czynną była aż do r. 1918, w którym to czasie wysiłki jej kierowników ponoszą ponownie klęskę przez tak zwaną „nacjonalizację", dokonaną przez władze bolszewickie. Konfiskata objęła zarówno fabrykę, jak nieruchomości, oraz kapitały, złożone przez firmę w rosyjskich bankach. Kierownikom udało się powrócić do kraju, ale z próżnemi rękami i do pustych pruszkowskich ruin.

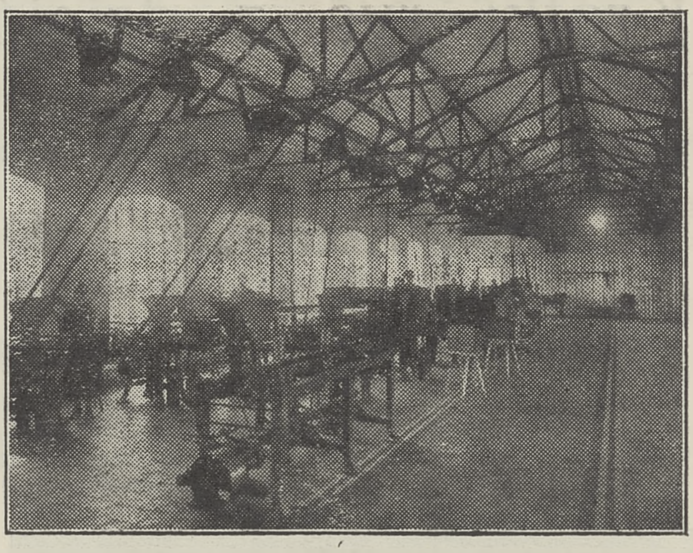
W ten sposób jedyna polska fabryka ołówków, otrzymawszy brutalny, a okrutny cios wojenny od niemieckiego wroga, doczekała się, zdawało się, ciosu ostatecznego od drugiego wroga, znoszącego prawo własności.

Pomimo tak smutnego stanu rzeczy, w r. 1920, dzięki powiększeniu kapitału akcyjnego oraz pomocy kredytowej Ministerstwa Przemysłu i Handlu i Pocztowej Kasy Oszczędności, rozpoczęta została w Pruszkowie odbudowa zniszczonych pawilonów; zostały również zmontowane ponownie specjalne warsztaty celem budowy własnemi siłami ołówkowych obrabiarek.

W ten sposób równocześnie z odbudową pawilonów fabrycznych, które dziś swym rozmiarem i fundamentalnością budowy znacznie przewyższają przedwojenne, podjęta została praca koło budowy maszyn i w miarę ich wykańczania rozpoczynała się fabrykacja ołówków, która doszła w chwili obecnej do 80 proc. produkcji przedwojennej.



Fot. 3. Hala parterowa fabryki w stanie obecnym



Fot. 4 Hala na 2-iem piętrze

W chwili obecnej fabryka pruszkowska zatrudnia około 300 pracowników, a maszyna parowa o sile 350 HP porusza przeszło setkę obrabiarek, roznosząc siłę kablami do motorów elektrycznych, rozmieszczonych w 16 pawilonach, przeznaczonych bądź na samą produkcję, bądź na jej działy pomocnicze.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILĘWSKI
Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.
PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM